



TREŚĆ NUMERU: Pod znakiem oszczędności. Przyczynki do zagadnienia alkoholizacji kobiet—*Edward Rosset*. Poradnia pedagogiczna—*K. S.* Na morze!—*Stefania Podborska-Okolów*. Wiersze—*Julja Dicksteinówna*. Braterstwo ludów (c. d.)—*Maria Jebrane-Wielopolska*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Miłaszewska*. Melodja zwiędłych liści—*Rosso di San Secondo*, (tłom. *K. B.* Meksykanka (z moich szpargałów)—*Gamaston*. Z Cyklu sylwetek: Helena Zboińska Ruszkowska—*C. Walewska*. Kobieta w świetle i w domu—*Z. B.* Z refleksyj na czasie—*p.* Strzałki. Zdrowie naszych dzieci. Dwie wystawy—*N. Samotyhowa*. Z Książek—*I. P. O.* Z Ruchu Wydawniczego. Dwa kapelusze zrobione własnoręcznie. "Casaque"—*M. Ribin* i cyklomony—*Spero*. Moda na scenie—*W. L.* Obiad przesyłany—*J. S.* Maj w ogrodzie—*R-ska*. Kto winowajca—*Pani Elżbieta*. Kuchenne krzeselko. Obiady na maszynce—*Pani Elżbieta*. Przegląd gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Dekad jechać na lato—*X.* Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy „Okrety, które płyną wśród nocy...” — *Beatrix Harroden*. Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

POD ZNAKIEM OSZCZĘDNOŚCI



Wielkie i małe sklepy w Warszawie i na prowincji roją się od towarów obcych. Każda panna sklepowa, każdy subiekt uważa za swój święty obowiązek, przy zachwalaniu towaru podkreślać jego doskonałość przez dodawanie przymiotnika „zagraniczny”.

Wśród kupującej publiczności wytworzyło się przekonanie, że jedynie importowany do Polski towar — jest coś wart, to też za taki towar chętnie płaci się drożej, a odrzuca się z niechęcią wyrób krajowy.

Jeżeli tylko najbogatsze z pośród nas, ubierają się w paryskie modele sukien i kostjumów, to jednak nawet najskromniejsza z Warszawianek musi mieć choćby tylko flakonik perfum francuskich. Nietylko naśladowujemy z niebywałą giętkością modę zaraniczną, nietylko ubieramy się tak, jak każe Paryż, Londyn lub Wiedeń, nietylko wiele z pośród nas zaczyna malować sobie brwi, usta i twarz — na wzór grizek francuskich — ale co gorsza poczytujemy sobie za obowiązek kupować na kostium angielską wełnę, na suknię francuski jedwab, ubieramy się w elegancką wiedeńską bieliznę, pończochy, a nawet listy pisujemy na „zagranicznym” papierze i t. d. i t. d.

Nic dziwnego, że potworne cyfry impor'u artykułów zb.tku za rok 1924 wyrażają się w następujących sumach:

Owoce południowe: 14,545,000 zł. i jedwabie 34,408,000 zł., skóry i wykwinne obuwie 74,581,000 zł. konfekcja (modele zagraniczne) 21,441,000 zł., galanteria 13,583,000 zł., kosmetyki i perfumy 3,091,000 zł., bielizna wykwinna 8,418,000 zł., papeteria 24,512,000 zł.

Na tem nie koniec. A sery wykwinne, a pasztety, konserwy, wszelkie t. zw. delikatesy, zapełniające półki sklepów ko'lonjalnych. Są to artykuły zbytku, na które kraj i ludność zubożała, w okresie sanacji finansowej i gospodarczej pozwolić sobie nie może. Cyfry wyżej przytoczone są cyframi urzędowymi, podanemi przez Główny urząd statystyczny. Musimy do cyfr tych dodać nienotowane nigdzie sumy za towar przemycany do kraju przez Gdańsk, Śląsk Cieszyński, i... przez szmuglał salony uprawiany, (uderzmy się w piersi), przez tyle, tyle kobiet z inteligencji, z których każda, wracając do kraju z zagranicy, czuje się w obowiązku coś tam zawsze przez polską granicę „przeszwarować”.

Sprawa nadmiernego importu — nie jest sprawą blałą. Podniosta tę kwestję w sejmie w Komisji

Przemysłowo-Handlowej pos. Marja Holder-Eggerowa, która w dniu 2 kwietnia b. r. referowała sprawę wstrzymania lub częściowego ograniczenia importu artykułów zbytku i towarów gotowych. Cyfry przytoczone przez pos. Holder-Eggerową biją w oczy:

Nadwyżka importu wyraża się w sumie 216.757.000 zł. w ciągu 1924 r. podczas gdy w roku 1923 suma eksportu naszego przewyższała nasz import o 79.105.000 zł. Zestawienie tych cyfr według pos. Holder-Eggerowej, świadczy o zmniejszającej się z miesiąca na miesiąc produkcji krajowej. To prawda, że Polska jest krajem najdroższej produkcji, jest to związane z całym szeregiem przyczyn natury gospodarczej i socjalnej, ale musimy się zastanowić nad tem, że kurczenie się polskich warsztatów wytwórczych powoduje coraz większe bezrobocie, zmuszające setki tysięcy obywateli do szukania zarobków poza granicami kraju. Słusznie też pos. Holder-Eggerowa zwraca uwagę, że taki stan rzeczy doprowadzić może kraj do katastrofy gospodarczej. Trzeba szukać środków zaradczych i to nie rozłożonych na daleką metę, lecz natychmiastowych, doraźnych.

Z niezwykłą łatwością zapominamy na każdym kroku, że jesteśmy w okresie ciężkiego przesilenia gospodarczego, że nakazem obywatelskim winna być jak najdalej idąca oszczędność wszystkich warstw społecznych, że teraz bardziej niż kiedykolwiek niedopuszczalną rzeczą jest sprowadzanie do kraju towarów zbytkownych, na które pozwolić sobie może tylko kraj bogaty, w normalnych warunkach rozwoju gospodarczego.

Trzeba zaradzić złu!

Musimy się zdobyć na podwójny wysiłek — z jednej strony Rząd podnieść musi akcję przeciwdziałania na drodze odpowiednio prowadzonej polityki handlowej, celnej i administracyjnej, z drugiej zaś strony — społeczeństwo. Bez zrozumienia doniosłości tej sprawy przez samo społeczeństwo nic nie pomogą najsroższe zakazy i ustawy. Jeżeli my kobiety, przez których ręce przepływa tyle gotówki, nie uświadomimy sobie grożącego niebezpieczeństwa — jeżeli pozwolimy, by pieniądz polski płynął szeroką ławą za granicę, jeżeli nie wybudujemy tamy i nie zaradzimy złu — popelnimy błąd — za który same w przyszłości pokutować będziemy. Jest to ważne zagadnienie, — które podsunął nam dzień bieżący — musimy tę sprawę przemysleć i znaleźć środki zaradcze.

* * *

Gdy podczas wojny w Czechach spłonęła doszczętnie jedyna w kraju fabryka rękawiczek, Czeszki postanowiły nie używać wcale rękawiczek, nie chcąc posługiwać się towarem zagranicznym, ażeby tą drogą nie obciążać bilansu

handlowego. Drobny to fakt napozór — ale jakże wymownie świadczy o dojrzałości państwowej tego narodu.

Niestety w naszym społeczeństwie, ogarniętem powojenną psychozą chęci używania i życia ponad stan — trudno jest spodziewać się wyrzeczenia się zbytku w imię dostosowania się do konieczności państwowych. A jednak opinia publiczna powinna wypowiedzieć się w tej sprawie.

Co prawda często daje się słyszeć głos, że drogą ograniczenia przywozu, nie osiągniemy pożądaných rezultatów, gdyż zdrowa konkurencja wpływa dodatnio na produkcję krajową. Tak! w normalnych warunkach tak jest istotnie. Ale wszak nasz przemysł i nasze rzemiosła są w okresie powolnego dźwignia się, nęka je brak kapitału obiegowego, drogi kredyt, poważne, ale konieczne podatki — a w takich warunkach zalew rynku wewnętrznego towarami obcemi jest zabójstwem dla wytwórczości polskiej.

Jeżeli społeczeństwo nasze potrafi zdobyć się na mocną i zwartą akcję w celu zmniejszenia importu zagranicznego, to z jednej strony polepszy się nasz bilans handlowy, z drugiej zaś wzmoże się praca i wytwórczość w każdej dziedzinie życia gospodarczego. Tylko niestety społeczeństwo nasze mało interesuje się tą kwestją — a przecież przeszło 40 proc. naszego przywozu stanowią Niemcy, kraj z którym dotąd nie posiadamy umów handlowych, kraj, który śmie kwestjonować nasze granice zachodnie, kraj żyjący myślą odwetu i odebrania nam naszych rdzennie polskich ziem. Uderza również fakt, że poważne ilości towarów kolonialnych pochodzenia południowego sprowadzamy za pośrednictwem Niemiec.

Niepokojącem jest również to, że do Niemiec eksportujemy surowce, natomiast sprowadzamy stamtąd towary gotowe. Zarabia więc na tem niemiecki przemysłowiec, rzemieślnik i kupiec-pośrednik, z krzywdą przemysłu, rzemiosł i kupiectwa polskiego. W ten sposób przyczyniamy się do potęgi gospodarczej najbardziej wrogiego sąsiada i to — o zgrozo! kosztem własnej naszej produkcji.

Rozumna opinia publiczna musi domagać się od rządu zniesienia ulg celnych, bądź też podwyższenia dotychczasowych cel przewozowych na artykuły zbytku jak: jedwabie, kosmetyki, perfumy, wykwinne obuwie, galanterję, modele konfekcji, oraz kosztowną bieliznę.

W akcji tej dużą rolę odegrać muszą kobiety.

Głos p. M. Holder-Eggerowej, referującej w Komisji Przemysłowo-Handlowej sprawę wstrzymania lub częściowego ograniczenia importu artykułów zbytku — musi odezwać się głośnie echem w polskim świecie kobiecym



PRZYCZYNEK DO ZAGADNIENIA ALKOHOLIZACJI KOBIET



adania z zakresu statystyki alkoholizmu, prowadzone przez Miejski Wydział Statystyczny w Łodzi, stanowią interesujący przyczynek do zagadnienia alkoholizacji kobiet.

Udział kobiet w pijaństwie, jakkolwiek ilościowo niezbyt wielki, ma jednak poważne znaczenie, gdyż ujemne oddziaływanie alkoholu na organizm, występuje u kobiet w szczególnie spotęgowanej mierze, a nadto i z tego względu, że—o ile chodzi o kobiety, które mają zostać matkami—grozi ujemnymi następstwami również nowym istnieniom. Zdaniem Sokołowskiego *), używanie alkoholu przez matkę w okresie ciąży i karmienia jest często przyczyną degeneracji potomstwa. Wspomniane badania łódzkiego Wydziału Statystycznego dotyczą kobiet, zatrzymanych na miesiąc w stanie nietrzeźwym. Zaznaczyć wypada, że od lipca 1923 roku na wniosek władz miejskich policja łódzka prowadzi indywidualną rejestrację wszystkich osób, zatrzymanych w stanie pijanym. Karty indywidualne, służące do rejestracji, są dostarczane policji przez Wydział Statystyczny; po wypełnieniu są zwracane temuż wydziałowi, gdzie podlegają szczegółowemu opracowaniu. W niniejszym artykule przedstawiamy najogólniejsze wyniki, dotyczące alkoholizacji kobiet.

W drugim półroczu 1923 roku zatrzymano w Łodzi 136 pijanych kobiet; w ciągu całego 1924 roku—264. Na poszczególne miesiące przypadają następujące liczby.

	1923 r.	1924 r.
Styczeń	—	5
Luty	—	13
Marzec	—	25
Kwiecień	—	20
Maj	—	35
Czerwiec	—	26
Lipiec	27	20
Sierpień	25	22

	1923 r.	1924 r.
Wrzesień	34	26
Październik	24	28
Listopad	14	24
Grudzień	12	20

Z powyższego zestawienia wynika, że liczba aresztowań za pijaństwo jest w porze letniej naogół wyższa, aniżeli w porze zimowej. Jest to zjawisko zrozumiałe: latem policji więcej nastęcza się okazji do zatrzymania pijanych, gdyż ci, gdy jest ciepło, chętniej opuszczają miejsce libacji, aby udać się na przechadzkę. Przytoczone liczby nie charakteryzują więc natężenia pijaństwa w poszczególnych porach roku.

Inaczej ma się sprawa z liczbami aresztowań za pijaństwo podług dni tygodnia. Te liczby stanowią niewątpliwie odbłask natężenia pijaństwa w ciągu tygodnia. Przyjrzyjmy się więc im.

Z ogólnej liczby z 64 aresztowań pijanych kobiet przypada na

poniedziałek	44
wtorek	33
środa	27
czwartek	39
piątek	43
sobotę	33
niedziela	45

Najwięcej aresztowań przypada na niedzielę i poniedziałek. Pewna część aresztowanych w poniedziałek rekrutuje się z osób, które upiły się w niedzielę. Z faktów tych można wywnioskować, że przepisy prawne, dotyczące prohibicji niedzielnej, nie są dostatecznie reflektowane. Zauważyć należy, że zjawisko to w silniejszym stopniu uwydatnia się przy badaniu znacznie obfitszego materiału cyfrowego, dotyczącego aresztowań pijanych mężczyzn.

*) Dr. Alfred Sokołowski, „Wielkie klęski społeczne i walka z niemi” (Warszawa, 1917).

O wieku kobiet, zatrzymanych w stanie nietrzeźwym, daje pojęcie następujące zestawienie:

do 20 lat	26
20 — 30	112
30 — 40	77
40 — 50	22
50 — 60	18
powyżej 60	9

Przeważają więc kobiety młode, a wśród nich nie brak dzieci, na co wskazuje fakt, iż z liczby 26 aresztowanych kobiet w wieku do lat 20 więcej niż połowa mianowicie 15, nie liczyła — jak ściślej — 18-go roku życia. Są to w lwiiej części istoty wykolejone, jak to wynika z uszeregowania liczb, według zajęć osób zatrzymanych.

Oto z jakich sfer rekrutowały się zatrzymane kobiety:

prostytutki	124
robotnice	74
służba domowa	10
handlarki	7
przy mężu	25
bez zawodu	24

Uderza wielka liczba prostytutek, które stanowią nieomal połowę aresztowanych kobiet. W pewnej mierze znajdujemy tu odzwierciedlenie faktu, że alkoholizm jest wśród kobiet lekkich obyczajów wielce rozpowszechniony. Sokołowski zaznacza, że zanik instynktów szlachetniejszych u prostytutek jest następstwem nadużycia alkoholu, które ma i taki skutek, że skraca im życie, bądź wskutek następstw samego alkoholizmu, bądź różnorodnych chorób, a zwłaszcza gruźlicy, do której nierządnic są niezwykle usposobione.

Klasyfikacja zatrzymanych podług wyznań daje wyniki następujące:

katolicki	—	238	czyli	90,2	proc.
ewangelicki	—	22	„	8,3	„
izraelski	—	1	„	0,4	„
inne wyznania	—	3	„	1,1	„

Przytoczoną strukturę wyznaniową zestawić należy, celem uzyskania jaśniejszego obrazu, z analogiczną strukturą ludności m. Łodzi. Według spisu ludności z dn. 30.IX.1921 r. liczebność procentowa poszczególnych grup wyznaniowych jest w Łodzi następująca: katolicy — 53,4 proc., ewangelicy — 10,8 proc., starozakonni 34,5 proc., inne wyznania — 1,3 proc. Otóż widzimy, że stosunkowo nieznaczny jest w alkoholizmie udział ewangelików, a wręcz znikomy — żydów.

Stan cywilny zatrzymanych kobiet pijanych obrazuje poniższe zestawienie:

panny	160
mężatki	71
wdowy i rozwódki	33

Jak widać, przeważają osoby w stanie wolnym. Inaczej jest wśród mężczyzn, gdzie przeważają żonaci. Mianowicie wśród 3,768 mężczyzn, zatrzymanych w stanie nietrzeźwym, było 2,170 kawalerów, czyli 57,1 proc.

Z kolei oświecić pragniemy sprawę wykroczeń i przestępstw, popełnionych przez kobiety pijane.

Przedewszystkiem zaznaczyć wypada, że z liczby 264 zatrzymanych 185 zakłóciło spokój publiczny. Na 100 aresztowań przypada więc 70 zakłóceń spokoju, gdy podobny odsetek wynosi wśród mężczyzn tylko 63.

Ale pozatem mamy do zanotowania całą litanję czynów występnych. Oto ich wykaz: opór i znie-

waga władzy — 5 wypadków, zaczepianie przechodniów — 11, bójki — 11, nieprzyzwoite zachowanie się — 6, wybiecie szyb — 1, inne wykroczenia — 2.

W ogólnej liczbie zatrzymanych kobiety stanowiły w roku ubiegłym 6,5 proc., gdyż w ciągu drugiego półrocza 1923 r. odsetek kobiet wynosił 5,5. Naogół jednak natężenie alkoholizmu w Łodzi w 1924 r. zarówno wśród mężczyzn, jak i wśród kobiet zmniejszyło się, co pozostaje w związku z wielkimubożeniem szerokich warstw ludności m. Łodzi, wywołanem masową redukcją pracy w przemyśle.

Edward Rosset.

Naczelnik Wydziału Statystycznego
Magistratu m. Łodzi.

PORADNIA PEDAGOGICZNA



Jeśli sobie uprzytomnimy nie tak dawne jeszcze czasy, kiedy to dom i szkoła stanowiły dwa odrębne, zamknięte w sobie światy, musimy przy-

znać, że dużo zmieniło się na lepsze. Zmienił się w każdym razie pogląd na te rzeczy, zmieniły się tendencje. Z obu stron widać szczerą usiłowanie zbliżenia się, wzajemnego zrozumienia i szarmonizowania dążeń do wspólnego celu. Rady wychowawcze są wymownym tego dowodem.

Jeśli więc chodzi o samo zrozumienie sprawy, jeśli chodzi o dobrą wolę, to pod tym względem bardzo dużo zrobiono w ostatnich czasach. I to ma bezwątpienia ogromnie ważne znaczenie. Ale to jeszcze nie wszystko. Zrozumienie pracy i dobre chęci są dopiero połową wszczętego dzieła; druga połowa, to jego wykonanie i środki, do tego prowadzące.

Można powiedzieć, że porozumienie między szkołą a domem jest narazie jeszcze natury bardziej idealnej. To, co praktycznie

w tym kierunku zrobiono, nie wystarcza, aby wprowadzić i utrzymać stałą współpracę. Na wspólnych zebraniach rad pedagogicznych, komitetów, czy zjazdów omawia się sprawy zasadnicze, dotyczące się ogółu młodzieży.

Konferencje wywiadowcze, które raz na kilka tygodni zgromadzają masowo rodziców, nie mogą też być uważane za stały i wystarczający łącznik między domem a szkołą. Krótkość czasu, rozgwar, pośpiech, kalejdoskopowość przesuwających osób i spraw i płynące stąd zmęczenie wykluczają z góry spokój i skupienie, tak bardzo potrzebne przy omawianiu trudnych nieraz spraw wychowawczych. To też na ogół konferencje te mają charakter czysto informacyjny i w tych warunkach trudno by było czegoś od nich się spodziewać.

Rozpatrując zatem sprawy z praktycznego punktu widzenia tak, jak życie realne codziennie je przed nami stawia, musimy stwierdzić, że kontakt między domem a szkołą jest ciągle jeszcze bardzo luźny. Ciągle jeszcze szkoła i dom borykać się muszą z trudnościami

pedagogicznymi, które łatwo dałyby się usunąć, gdyby istniało stałe porozumienie, stała wymiana zdań i pomocy.

Nie ulega wątpliwości, że wytworzenie takiej współpracy w naszych przeciętnych warunkach życiowych nie jest rzeczą łatwą. Przpełnienie w szkołach, przepracowanie nauczycieli, brak czasu a zwłaszcza brak zrozumienia ze strony rodziców i opiekunów domowych są bardzo poważnymi przeszkodami na drodze do tego ideału.

Ale niema trudności tak wielkich, któreby nie mogły być pokonane, gdy chodzi o sprawy doniosłe, zwłaszcza, gdy społeczeństwo doniosłość zrozumiało i gotowe jest do ofiar w tym kierunku.

Dlatego też ośmielałem się wystąpić z pewnym skromnym projektem, który może bodaj w części mógłby przyczynić się do zespolenia dążeń szkoły i domu. Z góry wiem, że projekt ten, jak wszelkie projekty znajdzie swoich zwolenników i przeciwników, będzie miał swoje zalety i wady — spotka się z mniej lub więcej ostrą krytyką.

Można go będzie zmienić, zmodyfikować, zastąpić czemś o wiele lepszym. Chodzi mi przede wszystkim o to, aby pomysłem tym zwrócić uwagę na samą sprawę, aby wytworzyć przekonanie, że tego rodzaju instytucja praktyczna jest wogóle potrzebna.

Nazwałam ją już w nagłówku „poradnią pedagogiczną“, a wyobrażam ją sobie w następujący sposób. W każdej szkole byłyby zaprowadzone w godzinach popołudniowych dyżury nauczycieli zależnie od ilości klas, uczniów i t. p. — 1 — 2 godzin dziennie. Dyżury te byłyby ogłoszone publicznie w dziennikach, katedrach klasowych i na tabliczkach, które stale wisiałyby na korytarzach szkolnych. W ogłoszeniach tych podanooby dokładnie: dni, godziny, klasy i nazwiska nauczycieli, przyjmujących w danym czasie w sprawach odnośnych klas. Dyżury byłyby rozdzielone między wychowawców klasowych, albo innych nauczycieli zakładu, ale tak, aby każdy dyżurujący nauczyciel dobrze znał uczniów tych klas, dla których w danym dniu przypada dyżur. W oznaczonych godzinach rodzice i opiekunowie zgłaszałiby się z każdą aktualną sprawą, dotyczącą się nauki i wychowania swoich dzieci.

Łatwo sobie wyobrazić korzyści stąd wypływające. Każda kwestja

ważna, z dnia na dzień się nasuwająca znalazłaby zaraz uwzględnienie. Zaniedbania w nauce, chwilowe trudności w rozumieniu jakiegoś przedmiotu, nieuzasadnione absencje, naganne zachowanie w szkole, czy w domu, nieodpowiedni wpływ otoczenia, zły stan zdrowia i t. p. kwestje, które teraz czekać muszą od konferencji do konferencji, byłyby od razu omawiane i załatwiane. A jeżeli zwążymy, iż w takich wypadkach aktualność sprawy, szybkość działania, rada w porę udzielona, często decydują o skuteczności wpływu pedagogicznego, będziemy musieli przyznać, że takie poradnie mogłyby odegrać niepoślednią rolę.

Muszę przytem podkreślić, że biorę nazwę poradnia w znaczeniu dwustronnem, t. zn. mam na myśli radę i pomoc, której sobie nauczyciele i rodzice wzajemnie udzielają. Inicjatywa wychodzi więc raz z jednej, raz z drugiej strony zależnie od tego, gdzie w danej chwili pojawiła się potrzeba wzajemnego porozumienia. W pierwszym wypadku wychowawcy domowi sami zgłaszają w godzinach dyżuru dla danej klasy, w drugim szkoła wzywa do siebie opiekę domową.

Przewiduję trudności, jakie będą wysunięte

Kuratorja być może oponować będą przeciw obciążeniu budżetu

szkolnego, boć przecież [godziny dyżurów trzeba będzie osobno wynagradzać. Ale de facto będą to koszta śmiesznie małe: 6 — 10 godzin, dodanych tygodniowo każdemu zakładowi sownie opłacą korzyści pedagogiczne, stąd wypływające.

Znajdą się zapewne i wśród nauczycieli malkontenci, którzy z nieufnością odnosić się będą do celowości tego urządzenia. Na to jest jedna rada: z pośród grona nauczycielskiego danej szkoły powołać do tej pracy tylko tych, którzy zdolnościami i zamiłowaniem do tego się nadają — a zwłaszcza tych, którzy sami do tego się zgłoszą.

Co do rodziców, to nie lęczę się także, aby od razu wszyscy zrozumieli i ocenili znaczenie tej instytucji. Niedbalstwo i brak przekonania niejednego powstrzymywać będzie od skutecznego współdziałania.

Ale jeśli praca ta od razu będzie dobrze postawiona, to w miarę jak wydawać zacznie dobre rezultaty, coraz więcej zyska sobie zwolenników, coraz więcej zrozumienia i poparcia.

W każdym razie trzeba zrobić próbę i od pięknie zapoczątkowanego porozumienia ideowego przejść do praktycznej, codziennej współpracy szkoły i domu.

K. S.

N A M O R Z E!

„Na morzel na morzej
wołanie przypływu już bije w przestworze
i serce nie rani,
że muszę iść za nim.
Niczego, niczego,
lecz wichru mi trzeba,
chmur białych co biega
wśród nieba,
i fali perlistej i piany srebrzystej
i krzyku mewy dzikiego“.

Tą grzmącą pobudką kończy Alain Gerbault, młody żeglarz francuski swoją książkę p. t. „Sam przez Atlantyk“ *).

Wspomnienia z jednej w swoim rodzaju wyprawy, pisane nie sło-

wami, ale ustawicznym napięciem energii, naprężeniem mięśni, czujnością nieprzerwaną osaczonego ze wszech stron przez żywioły, zdrowego i zwycięskiego organizmu ludzkiego, słonym oddechem morza, palącymi pocałunkami podzwrotnikowego słońca, szumem wichru, bełkotem fali, ogłuszającym hukiem burzy, tęczowymi błyskawicami ryb latających, łopotem żagli na masztach, kołatanie nieszpokojnego serca w młodzień-

czej, spizowej jak dzwon, iście bohaterkiej treści.

Co skłoniło młodego zapaleńca do samotnej, ryzykownej żeglugi? Czy tylko wygórowana ambicja? Bezwątpienia i ona także, choć Gerbault chciałby wmówić w nas i w siebie, że tak nie jest. Wziąć rekord wszechświatowej sławy, pobić Slocuma, który sam jeden na drobnym jachcie żaglował 72 dni po Oceanie Spokojnym, oto czyn, którego bezprzykładność musiała kusić bujną wyobraźnię zuchwałego pilota, nawykłego do karkołomnych wypraw w roztoczy powietrznej..

*) Alain Gerbault, — Sam przez Atlantyk — Biblioteka Dzieł Wyborowych — Tom XII. 2.

Ale poza szerokimi ambicjami klubowego jachtmana, ukrywa się coś więcej, co bezwzględnie decyduje o wartościach wewnętrznych Garbaulta i jego książki.

Umówienie przestrzeni, pragnienie swobody, żądza władzy, te wszystkie elementy, które dawniej gnały wielkich wodzów na podbój świata, a które uczuciowo reasumują się w jednym słowie: tęsknota wielkości.

Najdłuższy dystans, przebyty przez Hocuma i Blackburna, dwóch amerykańskich żeglarzy, wynosił 3000 mil bez zarzucania kotwicy. Gerbault zrobił 4600 mil od Gibraltaru do New-Yorku w 100 dni. Ta napoleońska liczba staje się dla niego kabalistyczną cyfrą królowania nad morzem. Nie przeraża go długie sam na sam z żywiołem. Natomiast widok pierwszego napotkanego statku napenia go smutkiem głębokim.

„Nie czulem się już panem na oceanie“.

Każda wielka miłość łączy się z pragnieniem wyłączności w posiadaniu. To wieczne wyznanie, ta chłopięca skarga jest kluczem do serca młodzieńca, którego ze środowiska ludzkiego wyrwała żądza władzy i rzuciła na „wałkę ustawiczną inteligencji i siły fizycznej człowieka z żywiołem.“

W śmiertelnych zapasach z morzem, groźnie upragnioną i nieporównanie piękną kochanką, znajduje szczęście, którego nie mogłoby mu dać życie wśród ludzi. Świadomość swej siły, poczucie zwycięstwa, wypełnia jego duszę po brzegi, syci go rozkoszą większą od sławy, bardziej upajającą od miłości. Jego zespolenie się z morzem nabiera powagi mistycznych zaślubin.

„Trzy lata temu, po raz pierwszy na pokładzie mego statku posiadłem morze; teraz wiem, że ono mnie wzięło na zawsze. Cokolwiek się stanie, wrócę do niego; myślę o tym dniu szczęśliwym, kiedy Firecrest i ja ruszymy razem na Ocean Spokojny, ku wyspom piękności“.

Morze jest jak wielka namiętność: wyzwala go od wspomnień, od rzeczy niekochanych. „Jest to jedna z największych uciech morza móc odrzucić od siebie wszystko to, czego już się nie kocha“. Więc czuwałem gestem beztroskiej młodości odrzuca ciężce mu kajdany: współczesną cywilizację, w której duszą się indywidualności młode, zdrowe, silne, w przyszłość idące.

„Czyż dlatego, że od wieków ludzie przywykli być, jako niewolnicy cywilizacji, i ja muszę prowadzić życie służalcze i konwencjo-

nalne? Nie! Popłynę naokoło świata, ja, pan mego statku, pijany przestrzenią, powietrzem, światłem, prowadząc proste życie majtka, pławiąc w słońcu ciało, nie po to stworzone, aby je zamknięto w domach dla ludzi.“

Pogarda domu, instynkt koczowniczy, żyłka przygód mają tu kilka źródeł, każde odmiennej natury. Indywidualnie wytłumaczyć się dadzą nietylko bujnym temperamentem młodego żeglarza, ale i tym prostym, pozornie drobnym, a jednak tak głęboko sięgającym faktem, że od śmierci matki Gerbault nie miał tego, co się nazywa ogniskiem rodzinnym. Społecznie — schyłkowością naszej kultury, która się przeżyła, pożera samą siebie i własne swe dzieci, jak dantejski Ugolino. Rasowo — podziemnych nurtów tego instynktu szukałby należało może w dalekich atawistycznych echach wypraw wikingów normandzkich.

„Żywie jeszcze duch morskiej przygody, co gnał przodków naszych, Normandów, na podbój świata.“ W tym okrzyku tkwi coś więcej, jak junacki gest pogromcy żywiołów. Wibruje w nim poczucie łączności z duchami przodków, zdrowy, nieomylny głos rasy, wołanie krwi, a razem jakaś nuta serdeczna, jakieś zuchowate ujęcie się pod bok dumy narodowej.

Ten pozorny wróg cywilizacji współczesnej, któremu pasażerowie pośpiesznego pociągu wydają się więźniami, a obdarty żebrak hiszpański prawdziwym księciem życia, — ten pozornie aspołeczny rokoszanin skrajnego indywidualizmu, kapitułuje, pochyla wszystkie sztandary przed jednym imieniem: imieniem Francji.

„Kto życia swego nie oddał za Ojczyznę, nic jej nie dał.“

To efektowne hasło byłoby pustą bańką, gdyby nie znalazło praktycznego gruntu pod zasiew idei. Ze zwinnością myślową typowego człowieka Zachodu Gerbault przezuca się od razu do realizacji „Będę szczęśliwy, jeżeli moje najbliższe wyprawy dadzą poznać piękno naszych kolonii tym wszystkim młodym i śmiałym Francuzom, którzy tam snadniej niż w kraju nasycą dowolni swoją żądzą przygód.“

A zatem zdemaskowałeś się młody żeglarzu! A możeś tylko za zdrośnie zapuścił zaskonę na tajniki twojej duszy? Kto wie, co wie a kipi pod czaszką młodego zapaleńca? Może czyn jego jest niczem więcej, jak neoromantycznym wzlotem nieuleczalnego marzycielstwa, wcielonego w siłę mięsność, a może tylko wulkaniczną erupcją

krwkiego temperamentu? — Przyśłość to okaże.

Tymczasem możemy stwierdzić, że Alain Gerbault zwyciężył w sobie strach samotności i strach śmierci, dwóch najniebezpieczniejszych wrogów człowieka wolnego.

Kiedy Gerbault wyruszał z Cannes, obok ukochanego „Firecrestu“, stała na kotwicy „Perełka“ drobny stateczek, własność dwóch młodych Francuzek, stanowiących zarazem jedyną jego załogę. Gapie portowi mieli widowisko nielada, kiedy zwinne dziewoje w strojach marynarskich wspinały się na bosaka po masztach i rejach, niczem chłopcy okrętowi. Uskuteczniły one w ciągu zeszłej wiosny i lata ciekawą żeglugę po morzu Egejskim, żeglugę związaną z celem naukowym. Jedną bowiem ze śmiałych podróżniczek panna Marta Oulié, najmłodszy archeolog francuski, otrzymała od Akademii „des inscriptions et belles-lettres“ polecenie dokonania poszukiwań na Krecie. W tej wyprawie sekundowała jej dzielnie panna de Laussure, nieustraszona żeglarka, zahartowana już w r. 1923 w szeregu pomniejszych wycieczek przy brzegach Prowancji i Korsyki.

W ciągu trzech miesięcy z górą, od 10 ego kwietnia do 20 ego lipca, młode, bo niespełna dwudziestoletnie podróżniczki, ani razu nie nocowały na lądzie, zawijając kolejno do pięćdziesięciu portów. Zważywszy, że morze Egejskie jest wyjątkowo niebezpieczne dla statków żeglownych dzięki gwałtownym burzom i gęstym, skalistym wysepom, można podziwiać odwagę, wytrwałość i sprawność Francuzek Argonauk w tej wyprawie po złote runo wiedzy, sławy i przygód.

Obrawszy sobie wyspę Delos, za punkt wyjścia, zawinęły do Tinos na święta wielkanocne, obchodzone tu z całym przepychem wschodniego rytuału i do Mykonos, wyspy o czterechset kościołach.

Druga żegluga obejmowała Paros, Naxos i Amorgos. Trzecia, największa, przez Syrę, Andros, Chios, Mytilene, Lemnos, Thosos, zaprowadziła je aż na Górę Athos, gdzie od wieków nie powstała stopa kobieca. Z powrotem przez Thasos, Samotrację, wybrzeża Dardaneli i Troi, Mytile, Samos, Paros do Lipso, malutkiej wysepki o 600 mieszkańców, gdzie cudzoziemców nie widziano od piętnastu lat i gdzie nasze podróżniczki odkryły ciekawe napisy i ślady starożytnej świątyni.

Nastąpił powrót, bardzo ciężki, z Lipso wprost do Delos, stamtąd do Pireusu.

We wrześniu, po ukończeniu poszukiwań na Krecie, niezmordowane żeglarki dokonały czwartej wyprawy z Pireusu do Hydoj, Spezzji i Nauplii. Ogółem przepłynęły 1700 mil morskich.

Miały zamiar wrócić do Francji przez zatokę Koryncką i cieśninę Messyńską, ale wierna „Peretka” nadwątlona przez upały i wichry, jużby nie wytrzymała tej podróży.

Kupił ją Grek, przedstawiciel znanej rodziny przedsiębiorców okrętowych. Została tam pod niebem Hellady, które jej i morzu zwierzyło swoje tajemnice.

Dużo widziały biedne żeglarki w swej wodnej pielgrzymce? Widziały na Syrze w mieście Hermupolis schody marmurowe o ośmiuset stopniach, wspinające się ku niebu pod potokami miesięcznego światła, jak w bajce.

Widziały na wyspie Chios skały tak dzikie, tak obdarłe ze wszelkiej zieleności, że śmieszna wydała im się fantazja Chateaubrianda, który ubrał je w gaje oliwek, palm, drzew mastykowych i terpentynowych.

Widziały Mitilene, wyspę, której piękność od trzydziestu wieków opiewali poeci, z przystanią, której słupy graniczne stanowią cokoły kolumn antycznych, ciosane w marmurze.

Widziały uchodźców ze Smyrny, Greków i Ormjan, nagich nędzarzy, zawodzących żałośnie orjentalne pieśni u stóp cytadeli, skąpanej w blaskach tego samego słońca, które patrzyło jeszcze na homeryczne zapasy pod Troją i nie dziwi się niczemu, bo od tej pory zbyt wielu tu legło zwycięzców i zwyciężonych.

Widziały Mytilene, królową Archipelagu, w szacie z hjacentów i złota, wiecznie radosną w wieńcu różnobarwnych kajaków o antycznej sylwetce.

Mytilena „wkłęsała pośrodku, jak leżąca kobieta”, „świat herosów i bogów, którzy uprawiają miłość w zagłębieniach platanów *).“

Urywek z dziennika podróży młodych żeglarzy zamieściła w jednym ze swych numerów lutowych „Ilustracja” francuska. Świadczy on o żywym poczuciu krajobrazu i pewnym wyrobieniu stylowym, którego brak zarazem razi i pociąga u G. Bault’a. Ma się wrażenie że całość nosiłaby wykwintne piętno dyskretnego przemilczania własnych czynów, świadomości tuszowania niezwykłości imprezy w przeciwieństwie do „Allana Żelaznika”, który swoich trudów i zapasów bynajmniej maskować się nie sili.

Skromnym pierwszakiem przy tych wybujałych pnącach mors-

kiej przygody wykwiła polska książeczka Iadeusza Dębickiego „Z dziennika marynarza”. Jedna jaskółka nie zwiastuje wiosny, i te wspomnienia ucznia szkoły marynarskiej z wycieczki szkolnej na pokładzie „Lwowa” z Gdańska do Rio Janeiro i z powrotem są raczej miłą pamiątką osobistą i wyrazem indywidualnych spostrzeżeń młodego autora, niż świadectwem rozwoju upodobań żeglarskich w naszym społeczeństwie.

W każdym razie, co za wyjątkowe i jak długie wakacje! Gdyby nie karność wojskowa i twarda służba marynarska, możnaby tę wyprawę nazwać wyjątkowymi wargami. Bo przecież to nie jakaś tam włóczęga krajoznawcza w Beskidy, albo wycieczka harcerska do Rumunji, ale podróż morską całą gębą 247 dni poza krajem, najdłuższy etap bez zarzucania kotwicy (między Paranagua i Falmouth) wynosił 80 dni!

I czegoż my nie użyli, jakich się dziwów zamorskich nie napatrzyli w tej wyprawie, a wszystko to zanotował w swym dzienniku podróżnym, a potem ze skrupulatnym młodzieńczym obiektywizmem opracował kolega, więcej od innych skłonnościami literackimi dzieciennie obciążony.

Więc naprzód przyjęcie w Hawrze, pełne bezpretensjonalnego humoru, potem żegluga przez Kanał zatokę Biskajską, A lantyk. Krótki postój na wyspach Zielonego Przylądka daje pierwsze wrażenia egzotyczne.

Czarne kobiety z dzbankami na głowach, dwie studnie na całe miasto, policjant pilnujący kolejki z dyscypliną w rękę, niedza wśród mieszkańców, podpłomyki z kuku rydzy i mięczaki, prażone na węglach, mały murzynek, który chce

naszym marynarzom sprzedać za dolara maleńką siostrzyczkę i senne z głodu sępy na kamienistej pustyni. A potem znowu ocean, rekiny, cudne noce podzwrotnikowe, przejście przez równik i uroczysty chrzest Neptuna z ceremonią golenia drewnianą brzytwą i popijania podejrzanym smakołyków „słonym szampanem” odtworzona z rozczulającą ścisłością historyczną, aż do dosłownego powtórzenia wygłoszonych podczas uroczystości utworów poetyckich.

Te ostatnie dowodzą, że nie zastarzał się jeszcze u nas typ oracyi szkolnych i że dzielne junaki „Lwowa” napewno włożyły w nie tyle samo zapалу i humoru, co sto pięćdziesiąt lat temu karna młodzież konwiktów pijarskich, ze starych murów „na chwałę Ojczyźnie wyrastająca”.

Wreszcie upragnione Rio. Świat tak odmienny od naszego, kraj wspaniałej flory i półdzikich ludzi. Ciekawy szczegół o marynarzach mulatach, walczących brzytwami, zatkniętymi między wielkim i drugim palcem... stop.

A potem moment jakby wyrwany z nastrojów „Pana Balcera w Brazylii.” Towarzystwo miejscowych Polaków zwiedza „Lwów”. Wielu z pomiędzy nich bierze po kawałku „prawdziwego chleba z polskiej maki”, aby go pokazać innym, pozostałym w domu lub zawieść dzieciom, „które jeszcze polskiego chleba nie jadły”.

Powrót. Tym razem z większą załogą, bo w skład jej weszły dwie papugi szop „Miś”, i maleńka małpeczka „Saggy”. I znowu ocean, żarłacz, Krzyż Południowy, przejście przez równik.

Wreszcie wigilia Bożego Narodzenia. „Sto mil do brzegu i sto mil przed brzegiem”. Gorzej! Pięćset mil do najbliższego lądu...

Choińka o gałązkach wyciętych z desek i pomalowanych na zielono, szopka, a w niej „zamiast śniegu piasek i palm” — na pamiątkę Brazylii, kołoda na oceanie, a po niej „Trzecia wachta na służbę! Zmiana na ster i oko, meldować się!” A jakby po to, żeby dopełniła się miara wrażeń — burza, prawdziwa burza mors a już u wybrzeży Europy. 120 kilo oliwy poszło przez noc na uśmierzanie fal. Tej samej nocy zginęła angielska łódź podwodna L. 24.

Można sobie wyobrazić jakie uczucia dumy rozpiekały piersi młodych „walczków morskich” z pokładu „Lwowa”, ale tylko wyobrazić, gdyż autor „Dziennika marynarza” o wszelkich uczuciach swoich, czy towarzyszy dyskretnie przemilcza.

*) Levis i Irena — Paweł Morand.



Jego indywidualność jest troskliwie usunięta w cień.

Zadnych niespodzianek, żadnych wybuchów egotyzmu.

Subjekt doskonale opanowany, ładny, spokojny, niemal chłodny. Inna rzecz, że we wspomnieniach tego rodzaju nie było miejsca na własną inicjatywę. Trzeba umieć

być lojalnym w stosunku do starszyzny i do kolegów, siebie samego trzymać w karchach.

Pan Tadeusz Dębicki dowiódł, że jest doskonałym materiałem na „gentleman'a”. Znakomicie „trzyma fason” przez cały czas wyprawy. Ani razu nie wychodzi z właściwej, przez siebie obranej tonacji.

Święty oddech młodości przebija niekiedy swobodniejszą nutą sztuczną skorupę konwenansu, jak Krokus przebija śniegi wiosenne. Chwała Bogu! przecież kostjum marynarski jest wprawdzie zapięty na wszystkie guziki, ale nosi się go bez sztywnego kołnierzyka. A la bonheur! *Stefania Podhorska Okółów.*

JULJA DICKSTEJNÓWNA

KOLEINY

*Duszę mą zczarowały dwie koleiny,
Na stromym szlaku życia, gdzieś w pomierzch siny;
Z wezbranem odtąd sercem i z czołem bladym
Muszę wiecznie tajemnym ich dążyć śladem.*

*Nie wiem, kto je tu żłobił, kto szedł przedemną,
Czy dniem się toczył srebrnym, czy nocą ciemną,
Czy to był pysznych zwycięstw rydwan królewski,
Czyli chłopskiej telegi ściosane deski?*

*Czy w śmiechu biegł korowód weselnej rzeszy,
Czy trumna, co do głuchej ziemi się spieszy,
Burze—li szły ogniowe, czy łez spokoje?—
Lecz — idę przeznaczenie znak dało moje.*

*Za nieznanem w nieznanie rwą mię w zmierzch siny
Spotkane rankiem w pustce gór koleiny.*

MARJA JEHANNE - WIEŁOPOLSKA

BRATERSTWO LUDÓW

(Rzecz o dziele Nieświadości)

16. NIECH ŚPI SPOKOJNIE SIWY
BYK NA POGRANICZU SERB-
SKIEM, NIEWPRAWNĄ RĘKĄ,
TĘPYM KOZIKIEM ZARŻNIĘ-
TY, KTÓREGO DYMIĄCE, PÓŁ-
SUROWE POŚLADKI KARMI-
ŁY NIEZNANYCH ŻOŁNIERZY
W DNI GŁODU I CHŁODU.

Za ten ułamany róg odprowadzili go od pługa brodaci, obcy ludzie.

Westchnął głęboko raz poraz, że już się kończy całodzienny trud. Teraz położy się wygodnie na miękkiej, chłodnej ziemi i wypocznie. Tylko o odpoczynku marzy. Jeść jakoś mu się nie chce. Ganił nim od świtu w pojedynkę przy pługu. Parę od niego zabrał dawno wysoki, ostrogłoty handlarz, więc sam musiał teraz pracować za towarzysza i za siebie.

Ach spocząć!

Długie, kremowe rzęsy opadają na zmordowane oczy, uszy kłapią delikatnie w tę i w tamtą stronę, od much i od myśli. Z wilgotnego i śliskiego pyska płynie sznurek pocziwej śliny do ziemi.

Pić mu się chce bardzo, ale nade wszystko wypocząć.

Nie jako żer przedstawia mu się trawa siwozielona, jesienna, lecz wyłącznie jako legowisko. Ot właśnie las, pewnie się tu zatrzymają i spoczną.

Czasem ludzie nie zaraz idą do domów. Widzi byk ognisko, płonące wśród jesiennego chłodu, syjące, prychające, stubarwne, dymem okraszone. Brodate postacie ludzkie kręcą się wokół i krzyczą. Ludzie zawsze krzyczą, czy trzeba, czy nie trzeba.

Ledwo stanęli, dwóch brodaczy zarzuciło mu sznur na tylne i przednie nogi i poderwali je. Właściwie po co? Niewiadomo. Bo on przecież tak czy tak byłby się potulnie i ochotczo położył. O niczem innym nie marzył. Aż jęknął, tak padł całkiem cielskiem. Oddychał głęboko, z rozkoszą, żebra potem złane tuląc do miłej, chłodzącej ziemi.

Po co mu nogi pętają? Nie myśli przecież wstawać! Ziemia jest tak miła i kojąca. Zawsze myśli o jędrnem, jedwabnem wymieniu matki, kiedy się na ziemię kładzie i tuli do jej tętniącej, kojącej powierzch-

ni. A kiedy jeszcze, leniwie leżąc, skubie i ssie sok z trawy smakowity, w promieniu głodnego pyska rosnącej — podobieństwo staje się jeszcze bardziej istotne...

A ci głupi, pocziwi ludziska wiążą mu nogi, aby nie wstał i nie poszedł do pługa z powrotem!!!

Skończyli wiązać nareszcie. Jeden siadł mu u wylotu szyi okrakiem i majstruje coś. Bóg raczy wiedzieć co?

Byk przymknął oczy, spraw ludzkich nieciekawe i próbował zasnąć, choć ludzie wrzeszczeli i poszturkiwali brutalnie jego boki.

Na podgardlu poczuł gmeranie zimnych rąk i maleńki ból go przeszył.

Głupstwo! ból nikły i mdły. Pewnie wpił się bąk w szczecinę i żłopie krew bezkarnie, lecz cóż mu poradzi? Niech żłopie. Trza cierpieć. Człowiek wszystkie zwierzęta nauczył cierpieć.

Ale po jakiejś chwili, ból zaczął się wzmacniać, stawał się dojmujący, okrutny, głębszy...

Nagły niepokój podniósł migdałowe rzęsy i spojrzały przed siebie łagodne, senne oczy.

Co to może być?

Targało coś i szarpało jego gardło, a ból wiercił coraz dosadniej, dobierał się do samego dna.

Co oni mu robią?

Rzucił się najpierw słabo, ostrzegawczo, próbnie, lecz sznury nie puściły — ach więc miały cel sznury! Zaczął się tedy rzucać coraz rozpaczliwiej, a ból rznął go już piłą, straszny, niedozniesienia, Poczuł w pysku przerażającą słoność krwi i mgła zasnuła mu żrenice.

Brodacze śmieją się do rozpuku i krzykami podżegają tego, co u wylotu jego szyi siedzi:

— Nuże, Urosz ile dni będziesz jeszcze tam rznął? Tak różnie delikatnie, jakby matkę rodzoną... widział kto takiego durnia!

— Dobrze wam mówić, przekłete nasienie, kiedy nóż jak pień...

Teraz zezłościł się na dobre i zaczął pracować z furją, roznamietniony krwią i śmiechami towarzyszy. Darł poprostu ciepłe gardło, szarpał je już nawet trzonkiem noża, byle się dostać do głównej arterji.

Byk szalał w powrozach i rękach człowieka, ryczał błagalnie i char-

czał. Kremowe rzęsy zalane już były krwią, ciekącą z oczu — krew buchała też z nozdrzy i z pyska — trawa wokół stała się jak dywan z purpury, a ręce zimne wciąż szukały w posoce i dymiącem mięsie źródła życia.

Nareszcie dotarła niewprawna ręka i tępy kozik do tego źródła.

Byk szarpnął się gwałtownie — dziecięcy prawie płacz buchnął mu z otwartego gardła i głowa wydłużyła się i spłaszczyła niepomniernie na purpurze dywanu.

Tak urzeczywistnili ludzie jego marzenie o spoczynku.

Istotnie spoczął.

17. NIECH ŚPI SPOKOJNIE CI-
CHA, Z E S T R A C H A N A,
SZCZENNA SUKA, KTÓRĄ
PRZEJECHAŁA W PÓŁ AR-
MATA STANÓW ZJEDNOCZO-
NYCH.

Taki duży teran, taka olbrzymia machina na nią, maleńką, zapłątaną w kudły i szczenną!

Byłaby się sto razy przemkła poprzez te warczące koła, poprzez ten świst, ryk i buczenie. Boże! alboż to raz był odpust, albo i jarmark i wozy jechały, jechały, ale teraz przecież pieski miała urodzić jutro lub pojutrze, więc brzuch, wiadomo, włókł się po ziemi, akurat dwa razy tak duży jak ona cała. Sapała i stękała, lecz głodna była, trzeba było poszukać pożywienia trochę, tedy biegła jak mogła najszybciej przez wieś, do znajomych jej dziur i zakamarków. Bywały tam kartoflane łupy i czasem chleb zapleśniały. Może będą. Ale cóż to się we wsi dzieje? Jeszcze nigdy tyle wrzawy! Tysiące młynów huczy — ludzie jacyś całkiem obcy idą, i idą, jadą i jadą, kurz wznosi się aż pod same niebo — dudnią, ryczą, dzwonią, zgrzytają. — Takiego odpustu, ani takiego jarmarku jeszcze nie było jako żywo...

Mimo to byłaby się sto razy przemkła poprzez te warczące koła, gdyby była jak dawniej smukła i zwinna — dziś nie sposób. Brzuch się wlecze po brzdach, które środkiem wsi porobiły mknące samochody i armaty — kudły okracają się dookoła osłabłych nóg — obco, głodno, ciemno.

Taki duży taran, taka olbrzymia machina na nią, maleńką, zestrachaną i szcenną! Cóż dziwnego, że z tej popielatej kupki, została tylko parucentymetrowa kupka krwawa, wężyk ognisty wśród zwalów kurzu, wśród kanwy bruzd i żłobień — nic więcej, a i to na chwilę tylko. Bo gdy przez tą kupkę krwawą przejechało pięćset samochodów, czterysta armat, tysiące tanków, luda i koni — nie zostało i śladu z kupki krwawej.

18. SREBRNA MEWA NAD BOSTONEM, KTÓRĄ ŚCIAŁ PROPELER ANGIELSKIEGO LATAWCA, NIECHAJ ŚPI.

Łucznik niewidzialny położył ją na niewidzialnej cięciwie, między skrzeniem lazurów i tak śmignęła rozedrgana i srebrna popod słońce. Tak czynił ów łucznik sto razy na dzień, dwieście razy, w nieskończoność.

Opadła — przeczesła puchem fale, które były w tej chwili jak z metalu i odbiwszy się końcami skrzydeł jak o trampolinę, strzeliła znowu ku słońcu, lekkomyślna, wyzywająca — nawprost. Paliło się to słońce nienasytnym płomieniem, kręgiem gorejącym na szczerzłotej patynie morza, a międzyprzeszreń tę wypełniała wciąż mewa, persona ważna, posłaniec szalony.

Krzyczała cieniutkim, denerwującym dyszkantem, napoły żałości, a uderzywszy o niewidoczną ścianę w powietrzu, wracała na łeb na szyję na rozłożoną falę — niby ćma, która opaliwszy sobie skrzydła o wiszącą lampę, leci bezwładnie w przepaść.

Tylko że ten proceder powtarzał się u mewy nieszkodliwy. Nie opalała skrzydeł i wracała wciąż piorunami skrzeń na swą drogę niewyttyczoną.

Wogóle była to jakby tajemnicza gra na zgoła nierealnym terenie. Niewidoczny był łuk, który srebrną strzałę wypuszczał w powietrze, niewidoczną była ściana, o którą ta strzała się odbijała — mah jongg jakiś niezbadany, w eterach...

Naraz...

Kiedy w lekkich, skrzydlatych lansadach gnała po raz tysięczny ku słońcu, padł na nią pośród niepokalanych lazurów nagły cień.

Jakżeż to możliwe? Co mogło się znaleźć między nią a słońcem? Nie ta ściana udana, wyimaginowana, od której odbijała się sto razy na dzień, lecz istotnie jakaś zaporą niezwykajna. Czarne grosz-

ki oczu wpiły się chciwie w nadlatującą stworę.

Ptak?!

Przechodzi on jej mewie pojęcie, sztywny, złowróbny, pełen furkotu, fetoru i huku. Wypłynął na błękit całkiem niespodzianie i sunął w lazurze skrzacem płożami. Rozwarł skrzydła nieruchomo, tak, że zdawał się wciąż lądować, tymczasem płynął, zagarniając powietrze coraz burzliwiej.

Mewie serce zabiło na trwogę, krzyknęła jeszcze przeraźliwiej, lecz ciekawa zawsze, ufna, wścibska i głodna, podlegała pięknym, kokieterijnym łukiem ku Niewiadomemu, wprost w paszczę, wprost w dziób utajony.

Padł cios. Jeden, krótki, piorunujący, błyskawiczny.

Poleciały teraz dwie mewy w dół na falę... dwie?!

Nie! to tylko jedna, ale przecięta na dwoje.

— Do you see, dearest? rzekł jakiś wzruszony, młody głos, na jakimś statku — białe kwiaty lecą na morze...

19. NIECHAJ ŚPI CHYBKIE KARNOPŁASZCZEK CIERNISTYCH NA OCEANIE, ZGNIĘCIONE WYPOLEROWANĄ PIERSIĄ ŁODZI PODWODNEJ.

Ani to niewodowy bat, ani kuter towarowy, ani sznaga. Tajemnicze na niej znaki i ciosna. Lśniące wysoce i nie oddychające boki wzniesły lęk tak straszliwy na dnie morza, jakby się rozpętało bojowisko niebywałe.

Trzeszczały korale łamane, organkowce, gąsioły i czerwone piórówki.

Meduzy oszalałe z przerażenia, rozkładały swoje warkocze — zmykały naoślep kieszeńce, ośmiornice, pajakowate jeżokrabby. Dygotał nawet przepysny, nieruchomy kwiat: turban morski, a z belków oceanu najgłębszych, szedł jęk i świst.

Łódź dziwna paliła się jak blizna, przeżywała ostrym nożem swojej piersi kipiące mrzostowiska ryb. Żadnego użaglenia nie miała, wiosła zamiast w dół, w topiel zanurzone, trzymała do góry

*) Łódź podobna, jak wiadomo, ma peryskopy jak kominy, tak że jej załoga, zanurzona na 7—10 metrów pod wodą, widzi za pomocą tychże peryskopów, sterujących ponad powierzchnię morza i za pomocą kombinacji luster, wszystko co się na tej powierzchni dzieje.

zadarte i zgurbione wysoko na powierzchni morza, na cichej gładi pieszczotliwej.

Trzpienie jakieś na niej i haki, szkła i dziwy. No i że wpadła na dno oceanu, a mimo to płynie dalej i różnie dalej wśród prysku i wrażenia, a za nią delikatnie kurzy się morze...

Kiedy echo wodne podniosło i skrzyknęło lud morski, ruszyły ryby naprzeciw tej pokraczności złowrogiej. Zmówiły się żarłocznie i tasze. Drętewiki w czarne gwiazdy wysypały się naprzeciw, kusze podniosły swoje młoty dwustronne i przelewało się to wokół łodzi, kotłowało, muskało, ujadało nią, wciąż równie obojętną, uroczystą i milczącą.

Zamknięte na wieki pudło jej, niosło poprzez dunugi morskie tajemnicę rozpaczliwej ludzkiej, czy strachu ledwie opanowanego, czy wyłączenia nerwów — tajemnicę oddechów tamowanych i niepokoju, podnoszącego włosy na głowie. W toni zagłębieni mieszkańcy łodzi, przyciśnięci wałem fal, nie mogli niczego dojrzeć z tego, co ich otaczało — oczy zostawili na powierzchni morza, wiecznie głodne zagubionej ziemi i wpatrzone bystro, aż do bólu bystro, z rozpaczą, w pustkę Oceanu, na której miał być sygnalizowany wróg. *)

Serca ich biły niecierpliwie aż do omdlenia, gardło ich dusiła zmora sztucznego oddechania, ściany stalowe opancerzały ich wolność, a wszystko po to, aby oczy, pozostawione na morzu, odłączone od ich nieszczęsnych organizmów, pełnych anormalnego lęku, dopatrzyły owemi mackami peryskopów: wroga. Dalekiego, czy bliskiego, niewiadomego, okrutnego wroga.

Okrucieństwo szło z nimi, nad nimi, wokół nich. Mordowali wciąż, cokolwiek wpadło w ich wir.

Właśnie sunie centkowane, filuterne prawie, zwarte karno płaszczek ciernistych. Szpiczaste trójkąty wyciągają przed siebie, rozplaszczone, plackowate, pokraczne, esyfloresami ogonów piszą dziwadła historii morskich. Nikt tych dziwadeł nie ciekaw.

Łódź też. Mknie ostro i tak samo ostro, nożem lśniacej piersi rozcina karno płaszczek ciernistych.

Zostają tylko strzępki w szklistej toni, podarte ułamki szarawe, bez znaczenia, bagrowanie niepotrzebne, opadające coraz niżej i niżej, aż do ostatnich szlamów na dnie.

Któżby przypuścił, że i te szlamy na dnie Oceanów przysłużą się Tobie, moja Ojczyzno? (c. d. n.).

WANDA MIŁASZEWSKA

3

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)

Zanosilaam się poprostu od śmiechu, gdy przychodziło do ostatnich słów i gdy finał tej jazdy bajecznej przemieniał się w istną galopadę:

A za żydem żydóweczki,
Pogubiły patyneczki,
Patataj! Patataj!
Patataj!

Wtórowałam radośnie, aż do utraty oddechu:

— Pat... tataj! Pat... tataj!...

— Dajże pokój, Tolku, daj pokój! Roztrzęsiesz dziecko i sam się zmęczysz, zobaczysz!

— Co mówisz, droga? — Zmęczę się? Zobaczymy! — i ojciec poczynił się śmiać tak serdecznie, że aż dostawał napadu kaszlu. Zsadał mię z kolan i ciągle powtarzał nawpół ze śmiechem, kaszląc, zakrywając usta ręką:

— Zobaczymy! Zobaczymy...

Co wieczór, kończąc herbatę, ojciec zapytywał niezmiennie: (To już należało do programu).

— A teraz pewno zagwizdać? Co królewna rozkaże?

Wiedziałam, że królewna, to ja i odpowiadałam pośpiesznie:

— Pośla Filiś...

I ojciec gwizdał, a mama nuciła półgłosem: „Poszła Filis do ogrodu”.

— A telas o gwiazdečko!

Znowu dźwięczała piosenka, wi-brujące srebrzyście gwizdanie ojca i pełen słodczy głos matki.

...Czemu, czemu, gwiazdko mała,
Twój promyczek zbladł?...

— A telas „Siumiście” (Szumi liście z drzewa)... A telas Kalcmalecko Safalecko! — dopominałam się coraz gwałtowniej, zaledwie przebrzmiały ostatnie tony.

— A teraz, moja panno, spać! — mówił ojciec. Brał mię znienacka w ramiona i niósł do sypialni, gdzie stały rzędem trzy łóżka: tatusia, mamy, a zaraz obok moje maleńkie z niebieską siatką.

— Kalcmalecko! Kalcmalecko! — protestowałam prawie z płaczem.

Ojciec spoglądał na matkę, naradzili się wzrokiem, a możeby Karczmareczkę? Tylko tę jedną jeszcze? Zwykle kończyło się na tej naradzie i ojciec oznajmiał poważnym tonem:

— Karczmareczka jutro. Karczmareczka dzisiaj zmęczona i poszła spać, tak, jak Krysia. Bo przecież Krysia nie chce martwić mamusi?

I to już prawie wszystko, co pozostało w mych wspomnieniach po ojcu. Za to pamiętam bardzo dobrze starą sąsiadkę, tę, która przychodziła codziennie i zabierała mię z mieszkania rodziców. Miała bardzo wyraźne wąsiki pod nosem i głos niemiły. Bałam się jej z początku, chociaż musiała to być niezła kobiecina. Gdy poraz pierwszy zabrała mię ze sobą, zanosilaam się od płaczu.

— Chcie do mamy! Chcie do mamy! — wołałam bezustanku.

Wzięła mię na ręce, zaniosła do swego mieszkanka na niższym piętrze i podchodząc ku ścianie, pokazała coś palcem:

— Popatrz. Ładne?

Były to trzy talerze gliniane z nędną płaskorzeźbą, pomalowaną jaskrawo. Na jednym widniał młyn z czerwonym dachem, drugi przedstawiał pejzaż zimowy, drzewa o nagich konarach i kościółek z dzwonnica, pokrytą śniegiem. Już nie pamiętam, co wyobrażał trzeci, wiem tylko, że utrzymany był w tonach zielono-żółtych, przypominających jajecznicę ze szczypiorkiem.

Szczególnym jednak zachwytem przejmował mię ów talerz z młynem. Wprawdzie, gdy otrzymałam go w podarunku od zacnej sąsiadki i przyniosłam z triumfem do domu, mama krzyknęła. „Fel Cóż za szkaradzieństwo!” — tem niemniej dla mnie było to arcydzieło sztuki. Nie rozstawałam się z tym skarbem przez długie tygodnie i mogłam całymi godzinami przypatrywać się błękitnym skrzętom rzeczki, albo wodziłam palcem po szklistej płaszczyźnie czerwonego dachu, albo też snułam nieskończone historie o człowieku w zielonej kurtce, który stał we drzwiach młyna i trzymał obie ręce w kieszeniach.

Nie bałam się już sąsiadki, gdy przychodziła na kilka godzin zabierać mię do siebie. W domu naszym było teraz zupełnie inaczej, niż dawniej. Tatuś nie wychodził rankami na miasto, nawet nie wstawał z łóżka, a mama coraz częściej miewała zaczerwienione

powieki i kazała mi bawić się cicho w kuchence.

U sąsiadki, oprócz talerzy, znajdowało się mnóstwo rzeczy ciekawych, godnych uwagi. Na ścianach wisiały obrazy w malowanych na płótnie ramach. Z treścią tych malowideł o lśniacej, gładkiej powierzchni, zapoznawałam się stopniowo, w miarę płynących dni. Na etażerce między oknami stało mnóstwo przedziwnych figlików: psy, konie, ptactwo i karzełki z terrakoty, wiązanka metalowych kwiatków, wtopionych misternie w szklaną doniczkę; było tam również jajko kryształowe, mieniące się tęczowo i duża, zakurzona szkatułka z akasmitu, wyszywana paciorkami.

Wolno mi było oglądać to wszystko, a nawet dotykać ostrożnie, końcem paluszka. To też chodziłam i oglądałam, a czas uciekał niespodziewanie prędko.

U sąsiadki zawsze był ktoś na herbacie, jakaś znajoma, z którą lubiła gawędzić, na małej kanapce, krytej czerwonym pluszem. Często moja osoba była przedmiotem rozmowy.

— A, to ta malutka? — pytała znajoma naszej sąsiadki?

Przywołano mię, przypatrywano mi się bacznie, kiwano głowami. Po takich oględzinach mogłam znowu powrócić do przerywanej zabawy, do tej wędrówki w zaczerowane kąty mieszkania, pełnego cudów. Czasem dobiegał mię strzępek rozmowy, której treść była mi obojętna:

— Jakże tam, pani kochana? Jeszcze żyje ten biedak?

— A zipie sobie, potrochu. Ot, powiem pani, najbardziej mi żal kobiety, ile ona nocy nie dośpi, a łez wyleje. I to wszystko nadaremno. Z nim już niedługo będzie kaput, a ta się jeszcze łudzi i ludzi...

— To i lepiej dla niej! — westchnęła kumoszka.

— Lepiej, albo i nie lepiej. Niechby się przyzwyczaiła powoli, bo co ma być, to ją nie minie. Strach myśleć, ile tego nieszczęścia na świecie!

Pewnego wieczoru zatrzymała mię sąsiadka na noc u siebie. Posłała mi na tej czerwonej kanapce przykryła własną pierzynką, a potem schyliła się nagle nademną i pocałowała serdecznie. Ogarnęło mię rozżalenie, poczęłam wołać,

jak kiedyś: „do mamy! do mamy!”

— Jutro zobaczysz mamę, sierotko — rzekła wówczas sąsiadka, a głos jej brzmiał dziwnie miękko.

Nazajutrz deszcz padał od rana. Długie sznureczki wody spływały po szybach. W południe przyszli jacyś ludzie: bardzo głośno stukali po schodach ciężkimi butami. Przysłuchiwałam się przez drzwi zamknięte gwarowi obcych głosów. Dopiero o zmierzchu odprowadziła mnie sąsiadka na górę. — Łóżko tatusia było puste, zasłane tylko kapą. Na otomanie gdzie zwykle siadywał, leżała mama z twarzą ukrytą w poduszce.

— Tss... — rzekła nasza sąsiadka — Tss... Mama chora.

Ale w tej samej chwili mama poruszyła się, podniosła głowę.

— Krysuniu! Moja Krysuniu! — jęknęła i pochwyciła mnie w ramiona. Nie płakała wcale tylko pierś ją wstrząsało suche łkanie. Czułam wyraźnie nierówne bicie serca przez cienką warstwę starej, zniszczonej sukni. Mama nie powiedziała nic więcej. Sąsiadka wysunęła się, zamykając ostrożnie drzwi, a ja zasnęłam w objęciach matczynych i twardo spałam do świtu.

Drugiego dnia również padał deszcz. Mama trzymała mnie mocno za rączkę idąc środkiem ulicy. Prawie kurczowo wczepiła palce w moją biedną, zziębniętą piąstkę bez rekawiczki. Woda wlewała mi się za kołnierz, a pod stopami chlupotało błoto. Miałam ochotę płakać i wołać, byśmy wracały do domu, ale się bałam. Ogromny, czarny wóz z podłużnym pudłem, umocowanym na wierzchu, skrzypiał i trząsł się po bruku. Szłyśmy tuż za nim, daleko, bardzo daleko. Za nami kroczyła sąsiadka, kilka znajomych osób i kilka zupełnie obcych, nieznanych mi postaci.

Gdy się wóz wreszcie zatrzymał, nogi miałam zdrętwiałe ze zmęczenia i z zimna. Jacyś ludzie ponieśli na ramionach podłużne pudło. Ktoś długo mówił nad pustym dołem, przy którym stałyśmy, a mama trzęsła się, jak w febrze. Gdy zarzucono dół ziemią, ten sam człowiek (pamiętam, jak przez mgłę, jego nos orli i długie, wtył zaczesane włosy) podszedł do mamy i podał jej ramię.

— Pani pozwoli... — rzekł.

Mama przyjęła ramię i nie puszczając mej ręki, poszła z tym obcym panem aż ku pustej, czekającej za bramą dorożce.

To wszystko, co mogę sobie przypomnieć dziś, w rocznicę ślubu moich rodziców trzydziestą siódmą...

V

Przyjechała nareszcie moja „kołężanka”. Jest to młoda, dwudziestoletnia dziewczyna z twarzą bardzo rumianą, przystojną, chociaż dość pospolitą. Wzrost ma raczej niski, ruchy żywe, prawie dziecinne. Oczy jasno-niebieskie, trochę za blisko osadzone, co uderzyło mnie od pierwszej chwili. Włosy obcięte, ubranie dość wyszukane, buciki na wysokich obcasach. Mówi głosem donośnym, z wybitnym akcentem kresowym.

Imię ma nader romantyczne: nazywa się... E—le—o—no—al Pierwszego zaraz dnia oznajmiła mi, że lubi, gdy ją nazywają L e n a, ale ja nie należę do zwolenniczek podobnych zdrobnień. Mówię jej więc „panno Leonko”, co zaakceptowała, aczkolwiek z lekkim żalem w oczach.

A więc personel nauczycielski w komplecie. Najwyższy czas, bo nawet kopanie kartofli ma się ku końcowi. Zniknął ostatni motyw zaniedbywania szkoły przez dzieci.

Lubię swą pracę, poświęciłam się jej całkowicie, a jednak chwilami czuję ogromne znużenie. Szesnaście lat! Najstarsze uczennice moje zapewne powychodziły za mąż i z kolei dzieci ich teraz chodzą do szkoły. Stara jestem... Ci malcy, których nie znam, to jakby moje wnuczeta...

Patrząc na pannę Leonję, widzę jakgdyby własny wizerunek z przed lat szesnastu. Rumieńców tak silnych wprawdzie nigdy nie miałam, ale zapal ten sam, bodaj, czy nie większy. No — i ta wiara, ta cudowna wiara w świat, w ludzi, w samą siebie... Wiara, której nie zdoła wydrzeć nikt i nic, a którą rok po roku przyćmiewa rosnąca bryła czasu. Jak ja kochałam życie mając dwadzieścia lat! Jakże kochałam je później jeszcze, aż do... Ech, mniejsza z tem! Pierwsza skaza na sercu człowieczem podobna jest do plamki rdzy, która się z czasem rozszerza, wgryza w hart ducha, kruszy go. Ani spostrzeżesz, jakim sposobem i kiedy

giętka stal nerwów staje się starem żelastwem, zdatnem na szmelc...

Ot, znowu nastrój minorowy. Znowu ten pół — czy ćwierćton melancholji, w którym rozplywa się i gubi jasny, bo prosty rysunek dnia.

Mój dzień wygląda przecież ogromnie prosto: Praca w szkole, przerwa na obiad, znów praca w szkole. Poza tem trochę czytania, trochę włóczędzy po rudych, jesiennych polach. Takie przechadzki „z własną duszą pod rękę”. Czasami chwila gawędy z ludźmi, ot tak, żeby pokazać, że jednakże współżyję, współ-czuję z nimi, że mnie obchodzą ich radości i troski. Potem znów trochę samotnej ciszy, czytania, nieco rozklekotanych myśli, czasem figlarny promyk jakiegoś wesołego wspomnienia i — noc. A nazajutrz to samo. Dzień po dniu, jak krople dżdzu jesiennego. Czas mija niewidocznie i tylko drzewa nad rzeką stają się wiotsze, roniąc ostatnie liście w wodę i między zeschnięte żdźbła trawy.

Zaraz pierwszego dnia zadała mi panna Leonka sto pytań. Jedno z ostatnich brzmiało, czy dawno tu jestem? Byłam naprawdę w kłopotcie, co odpowiedzieć. Bo jakże?

— Pracuję w szkole od wakacji.

— A przedtem?

— Przedtem byłam w miastach. W Warszawie, w Łodzi...

— Nauczycielką?

Tak. Od paru lat w szkołach powszechnych. Dawniej byłam nauczycielką prywatną...

...A dawniej? A przedtem... Ot, wędrowałam po świecie.. A jeszcze dawniej byłam tu. Tak, właśnie tutaj, w tych stronach. Tu rosłam. Ale to do rzeczy nie należy. Uśmiechnęłam się smutno do własnych myśli i powiedziałam głośno:

— Jestem już stara, panno Leonko. Zdeptałam sporo świata.

Popatrzyła na mnie prawie ze zgrozą.

— To pani mieszkała w Warszawie, a teraz tu, do takiej dziury zapadłej...

Chciałam powiedzieć: Kocham tę dziurę zapadłą bardziej, niż wszystkie najpiękniejsze miasta, jakie poznałam w życiu. Spędziłam tutaj dzieciństwo. Pani nie może zrozumieć, co to znaczy: wspominać swoje dzieciństwo, bo pani sama jeszcze jest prawie dzieckiem. Chciałam to wszystko powiedzieć jednym tchem, lecz nagle dusza ukryła się zazdrośnie w mojej mocnej, nieprzeniknionej skorupce — i rzekłam grzecznie:

— Ofiarowano mi tę posadę, więc ją przyjął. Ja zresztą wolę pracować tutaj, niż w mieście.



ROSSO DI SAN SECONDO*)

MELODJE ZWIĘDŁYCH LIŚCI

(Nokturn romantyczny)

OSOBY:

PANI Z MINIATURY
 PANIENKA O CIEMNYM WARKOCZU
 PAN W ZIELONYM PŁASZCZU
 SŁUŻACY
 TRAGARZ

Pokój hotelowy w stylu Ludwika XVI, z alkwą w głębi na prawo, której arkadę przysłania lekka firanka, dająca się całkowicie zasunąć. Biurko i krzesło przed nim, na prawo sceny. Z tej strony lustro na ścianie. Wszystko miłe, przytulne, może dać przejeźdnemu, bodoj na chwilę, iluzję domowego zacisza. Pokoik ten musi dać widzowi wrażenie skupienia ciszy, jakgdyby w miękką watę otulonej, w której tak słowa jak i pauzy mogą zachować to ciepło wzruszenia, przenikające cały dramat. Jedynie drzwi w głębi wychodzą na korytarz. Koło prawej ściany postawiono kufer. Poza tem żadnego znaku któryby wskazywał, że pokój jest przez kogo zamieszkały. Noc.

(Przy podniesieniu kurtyny w pokoju panuje ciemność. Długa pauza. Słychać tylko zdaleka bardzo cicho, dźwięk fortepianu, na którym ktoś gra REWERIE DEBUS-SYEQO. — Wchodzi tragarz z dwiema walizkami, składa je na podłodze, szuka, macając po ścianie, kontaktu elektrycznego, nakręca go i, oświetliwszy pokój, kładzie walizki na właściwym miejscu.

W tej chwili służący przestępuje próg drzwi i zwraca się poza siebie, jakgdyby spontanicznym odruchem chciał wesprzeć kogoś, kto się zachwiał na nogach ale wnet opanowuje się służbiście i tylko twarz jego zdradza uczucie wzruszonej litości.

PAN W ZIELONYM PŁASZCZU. *(wchodzi krokiem znużonym i niepewnym szepcząc:)* Dziękuję, dziękuję. Nic mi nie jest. *(Twarz jego jest trupio biała)* refleksy zielonego płaszcza czynią ją jeszcze żałośniejszą; oczy piękne i duże powleka śmiertelna mgła, na czole nieuleczalna zgryzota, rzadkie włosy, które zaledwie kryją wyłysiałą głowę są oprószone szronem siwizny, w ustach tylko, jakgdyby świadcząc o wielkiej dobroci i bezgranicznej delikatności duszy, pozostał pewien dziecięcy wdzięk, czasem wykwiła na wargach cień szczerzego uśmiechu, który jednakże znika niebawem, jak wspomnienie, co określić się nie da).

TRAGARZ. *(Złożył walizki i czeka).*

SŁUŻACY. *(Spogląda na pana, który stoi na środku pokoju, faktycznie w zapamiętaniu. Po chwili wahania:*

Może odejść?

PAN. *(jak ktoś, co z trudnością pojmuje i znajduje się myślami deleko:)*

Hm... Tak może odejść.

SŁUŻACY. *(do tragarza:)* Idźcie.

TRAGARZ. *(wychodzi na palcach. Pauza.)*

SŁUŻACY. *(odwaga się przemówić:)* Czy wielmożny pan zadowolony z pokoju?

PAN. Hm?... Mówicie?... Pokój? Tak, tak, dobry.

SŁUŻACY. *(nieśmiało:)* Wielmożny pan... zechce spać.

PAN. Tak. Chcę spać. *(I jak stał, nie zdejmując płaszcza, opuszcza się na fotel, patrzy w próżnię).*

SŁUŻACY. *(zawsze nieśmiało:)* Już wpół do pierwszej. Pociąg dziś spóźniony... Może wielmożny pan nie czuje się dobrze?... Może pomóc rozebrać się?...

PAN. A?... Nie, nie potrzeba.

SŁUŻACY. *(po pauzie)* Chciałem powiedzieć... ponieważ dotąd nie mieliśmy gości po tej stronie korytarza. Pan dyrektor pozwolił paniom, które zajmują pokoje obok, grać do późna w noc. Ale teraz wielmożny pan przyjechał... a jeśli muzyka mu przeszkadza... dam zaraz znać tym paniom... To bardzo delikatne osoby... i zrozumieją...

PAN. *(jakby dopiero teraz coś posłyszał:)* Ah! Muzyka!... Nic, nic nie szkodzi...

SŁUŻACY. Jak pan uważa... jeśli nie dokucza. To dwie panienki, z matką, pianistki — dziś wieczór przyjmują u siebie przyjaciółki. A jeszcze... pan dyrektor pozwolił, aby te panie wstawiły tu swój kufer... Jeżeli panu zawadza, każę go wiać zaraz, jeżeli nie, to jutro...

PAN. Ten kufer... nie, nie zawadza nic. *(Pauza, przyjezdny przyciska ręce do piersi, jakby czuł tam ból)*

SŁUŻACY. Proszę pana, jeśli mógłbym w czym pomóc...

PAN. *(patrzy nań wzrokiem bolesnym i dalekim),* Chciałbym, chciałbym wiedzieć jaka tu pogoda...

SŁUŻACY. *(z pewnem uczuciem zdziwienia, które pragnie ukryć)* Pogoda?... Ach! to znaczy!... Tak, było pięknie, ale wczoraj deszcz padał...

PAN. A jutro?...

SŁUŻACY. Jutro? Nie wiem, proszę pana..

PAN. Ach tak, nie wiecie...

SŁUŻACY. Nawet nie wychyliłem się za drzwi dziś wieczór. Nie wiem, czy gwiazdy świecą?

PAN. Nie, nie świecą. *(pauza).*

SŁUŻACY. *(jakkąjąc się:)* Czy... czy pan nie da mi innych rozkazów.

PAN. Nie, nie dam innych rozkazów. *(pauza. Służący waha się, czy ma odejść, ale zaledwie się ruszył, gość mówi:)* Słuchajcie, o której godzinie świta?

SŁUŻACY. Świta? Dokładnie nie mogę powiedzieć. Ale myślę, że tak, około wpół do szóstej. Wiosna zaledwie się rozpoczyna.

PAN. *(z akcentem rozpaczliwego, utajonego bólu)* Ach tak... tak.. *(pauza)* Otóż to... Gdyby jeszcze zeszło słońce... mówię... gdybym mógł zobaczyć słońce...

SŁUŻACY. Nic łatwiejszego, proszę pana, czyż to taka dziwna rzecz? Słońce wszędzie... Zobaczy je pan...

PAN. Tak, to nie jest dziwna rzecz tutaj...

SŁUŻACY. Rozumiem. Wielmożny pan musiał długo przebywać w krajach, gdzie niema słońca. Na Północy.

PAN. W istocie. Na Północy..

SŁUŻACY. Ale wielmożny pan nie jest cudzoziemcem? Pan tutejszy?

PAN. *(półgłosem)* Nie jestem cudzoziemcem. Choć... kto wie?...

SŁUŻACY. Proszę pana, czy mam odejść?

PAN. Jak się wam podoba. Jednakże... chciałbym wiedzieć, którym pociągiem trzeba wyjechać, aby dojechać na czas do morza?

SŁUŻACY. Na czas?...

PAN. Chciałem powiedzieć... aby jak najprędzej dojechać do morza... Na stacji mi powiedziano, że niema pociągu bezpośredniego...

SŁUŻACY. Jest pociąg poranny... zobaczę... *(szuka w rozkładzie jazdy i znajduje kartkę, wskazuje palcem)* Oto... Oto... o godzinie czwartej z minutami... Ale to za mało czasu, aby pan spoczął...

PAN. Tak, na wypoczywanie będę miał tyle czasu.

SŁUŻACY. *(stropiony)* Jak pan uważa...

PAN. Łatwiej zobaczyć słońce nad morzem... Jak aądziecie?

SŁUŻACY. Myślę, że tak panie... Życzę, aby tak było. Jeśli panu tak potrzeba słońca...

PAN. Otóż to, potrzeba mi słońca. Potrzeba mi słońca właśnie jutro. *(z bólem)* Ale żeby to już było teraz jutro?... i żeby było słońce.. Trochę słońca... Ale czy będzie, czy będzie jutro, po tej nocy?...

SŁUŻACY. Proszę pana, jakżeby nie miało być?

PAN. Ja tylko tak mówię... *(pauza)*

SŁUŻACY. A więc... Mam pana zbudzić naprawdę? zbudzić o trzeciej, gdyż pociąg idzie o czwartej?

PAN. Tak. O trzeciej, aby pojechać o czwartej... nad morze...

*) Jeden z najwybitniejszych młodych dramaturgów włoskich ur. w Caltanissetta w r. 1887. Pisał również powieści i wiersze liryczne. Sztukę jego p. t. Marionette, che passione! wystawiono w Krakowie w r. z.

SŁUŻĄCY. Dobrego spoczynku zatem... tak krótko może wielmożny pan odpocząć.. (podczas, gdy się zwraca do odejścia) Słyszysz pan? Grają znowu... Czy mam poprosić, aby przestali...

PAN. Niech grają...

SŁUŻĄCY. (chwilkę stoi stropiony, potem wychodzi bez najmniejszego szelestu, cicho, ełchutko zamykając drzwi. W pokoju cisza. Słychać tylko miękkie, dalekie dźwięki fortepianu, na którym ktoś gra Reverie Debussyego, a przyjezdny nie rusza się, tylko jakby nieświadomie zagłębia się coraz bardziej w fotel, głowa opada mu na piersi, zdawałoby się, że usnął, gdyby nie ruch ręki, ledziutko wybijającej na poręczu krzesła takt muzyki. Po chwili podnosi głowę, wzrok jego zdaje się jaśniejszy. Wbija oczy w próżnię, jakgdyby widział coś, jakby jakieś wspomnienia czasów ubiegłych wstawały przed jego wyobraźnią, porusza przez chwilę ustami, czyni niedostrzegalny ruch, jakby chciał przemówić do postaci swych wspomnień, podczas gdy lewą ręką ciśnie piersi, jakby chcąc powstrzymać ból fizyczny. Nagle, bez hałasu i bez pośpiechu, ale pewną pchniętą ręką otwierają się drzwi z prawej strony i pewnym krokiem wchodzi PANIENKA O CIEMNYM WARKOCZU, delikatna figurynka, zdradzająca jednakże intensywne życie wewnętrzne, którego słodki dźwięk promienieje z całej tej osobki.)

PANIENKA. (cofa się, jak ktoś, co natrafił na nieoczekiwany zgoła widok, z odruchem przestrachu. Och! przepraszam... proszę mi wybaczyć... Nie... nie wiedziałam...

PAN. (zwrócił powoli głowę; spostrzegłszy ją, ramiona opadły mu wzdłuż ciała; oczy otworzyły się szeroko, usta zostały wpółrozchyłone. Patrzy na nią).

PANIENKA. (Onieśmiewiona, ale jakby podbita wzrokiem przejeźdnego). Proszę, niech mi pan wybaczy. Pan nie pojmuje dlaczego... Mamy kufer tutaj... Nie wiedziałyśmy, że pokój jest zajęty... Przyszedłam wyjąć...

PAN. (Utkwił w niej wzrok w milczeniu jakby oczom własnym nie wierzył; potem slania się w nagłym omdleniu).

PANIENKA. Paniel paniel panu się słabo zrobiło?

PAN. przychodzi do siebie i czyni ręką znak, którym chce ją uspokoić. Nie nic, nic mi nie jest, Nie wiedziałem, nie wiedziałem, czy pani w istocie weszła tutaj,

PANIENKA. Tak... ażeby wyjąć z kufra... (przerywając sobie) panie... ja panu zrobiłam przykrość... widzę...

PAN. — (głosem znużonym) Nie... nie... Bardzo dobrze... Zdawało mi się... stąd zdziwienie moje — że ja panią znam... to jest... że panią widziałem kiedyś już...

PANIENKA. Kiedyś już...

PAN. Ale to nie może być.

PANIENKA. Nie może być? Dlaczego?

PAN. Ponieważ... tak dawno już... dwa dziesięcia lat, albo dwadzieścia dwa... A pani jest tak młoda... A więc wtedy... jeszcze pani na świecie nie było wtedy...

PANIENKA. Ach jakie to dziwne!.. Panu zdaje się, że mnie widział dwadzieścia temu lat, a ja mam dwiętnaście. Jakie to dziwne... przepraszam pana, idę już...

PAN. (prawie z jękiem) Nie... nie odchodź... (oponowując się) to jest... proszę, niech pani weźmie to, co pani chciała wziąć... ze swego kufra...

PANIENKA. (ze szczerą wdzięcznością) Och! dziękuję i owszem... Żeby Pan wiedział, jaka to śliczna rzecz!.. Mam wziąć dawną suknię mojej mamy... widzi pan... z przed dwudziestu, albo dwudziestu dwu lat... przywiozłyśmy ją umyślnie ze wsi... My, wie pan, mieszkamy zawsze na wsi... przyjechałyśmy do miasta, to ja i siostra moja zdajemy egzamin w konserwatorium muzycznym... tak, aby mieć dyplom... otóż, to...

PAN. Ach! zawsze panie mieszkają na wsi...

PANIENKA. Naturalnie. W willi mamusi, w starej willi — także tatko nasz kupił willę, ale nowoczesną... my lubimy willę mamusi, tam gdzie mama była małeńką, gdzie wyszła za mąż pierwszy raz! (z zażenowaniem) ponieważ mama... (przerywając sobie). Przepraszam. Opowiadam panu to wszystko... ale jestem taka wdzięczna, że mi pan pozwala otworzyć kufer i chcę panu wytłumaczyć... Ja jestem bardzo podobna do mamusi!

PAN. (z bolesnym pośpiechem) Tak! tak!..

PANIENKA (zdumiona) pan mówi, że tak! Dlaczego pan to mówi?

PAN. Nic, nic... słucham...

PANIENKA. A najbardziej jestem podobna do jednej miniatURY mamusi, malowanej przez doskonałego artystę,



zaraz po jej ślubie. Och! zupełnie zupełnie podobna. A na tej miniatURY mama jest odmalowana w tej samej sukni, którą ja teraz mam wyjąć. Dlategośmy ją tu przywiozły, abym ja się mogła w nią ubrać i pokazać przyjaciółkom mamy, niech osądzą, jak wielkie jest podobieństwo. Miałyśmy to zrobić jutro, ale te panie są ciekawe i chcą mnie widzieć zaraz...

PAN. Och, zupełnie podobna...

PANIENKA. Co pan mówi?..

PAN. Mówiłem... miniatura malowana przez doskonałego artystę...

PANIENKA. Czy ja panu smutnego co przypomniałam... to niechcący, mój Boże: (szakając w kufrze) Już, już... spieszę się... i pójdę sobie zaraz...

PAN. Nie... dlaczego... iść sobie... to taka śliczna rzecz... ta sukienka... w kwiatuszki i listeczki, jak była wtedy moda... wstążki błękitne... wąska w pasie, bardzo wąską — szarfa aksamitna, także błękitna, a spódniczka szeroka i fałdzista...

PANIENKA. (zdumiona) Ależ ja jej nie wyjęłam jeszcze! Paniel jakim sposobem pan ją zobaczył? (wyciąga z kufra suknię i zbliża się do przejeźdnego) Tak, taka sama właśnie taka sama!..

PAN. (podnosząc z drżeniem rękę i dotykając materji). Tak... ta sama... (wyrzywa mu się z piersi tkanie, które przechodzi w kaszel).

PANIENKA. Pan płacze, panie... ale dlaczego, co to znaczy? czemu pan płacze?..

PAN. To nic, proszę nie zważać na to... przyznaję, jestem chory, a ponieważ lata dłużej byłem poza krajem najmniejszy szczegół mnie wzrusza... Jestem jak dziecko... ale to nic, to nic...

PANIENKA. Och Boże mój! tak mi przykro... Gdybym mogła co zrobić dla pana... Niech pan powie tylko...

PAN. Jaka dobra, jaka miła... zrobić coś dla mnie... Nic... cóż zrobić... Och ta rączka, ta rączka także ta z miniatURY nieprawdaż? i tak odtworzona w miniatURY jak w sercu... Można mieć w sercu wizerunek takiej rączki i nosić go z sobą przez tyle lat, jak miniatURę i można mieć także w miniatURY odbity obrazek: taką rozkoszną uliczkę, obrzeżoną szpalierami bukszpanu — ocienioną magnoliami, w końcu której szemrze małeńka fontanna o świeżym wodotrysku, który skrapia jak rosą klomby kwiatów wokoło... klomby, na których zawsze kwitną werbeny i geranie białe i różowe... I widzi się werandę willi... widać ją od końca ścieżynki — jej szyby błyszczą jak tafla wodna...

PANIENKA. Willa... panie... willa mamusi... aleja magnoliowa... szpalery z bukszpanu... małeńka fontanna... weranda jak tafla wodna...

(d. n.)

Tom. K. B.

G A M A S T O N

M E K S Y K A N K A

3

(z moich szpargałów)



W tłumaczyłem to zjawisko mojej towarzysze po francusku, latynizując lub italanizując wyrazy; popularyzowałem teorię Leidenforsta, ale mimo że i palcami wyrażałem kulistość, nic nie rozumiała, śmiała się tylko i widziałem, że złość z którą miętosila parasolkę, wszedłszy do kiosku już ją ominęła. Wyjęła z zapaska zegarek i brzęcząc wisiorami, zobaczyła godzinę. Wymówiła kilka wyrazów, pokazując na migi, że trzeba iść jeść. Odchodząc, zabrałem kilkanaście kamuszków, różnego koloru na pamiątkę pobytu nad Michiganem.

Mignela zaprowadziła mnie do restauracji meksykańskiej. Kilkanaście stolików było zajętych, służba w białych strojach uwijała się podając różne potrawy, Murzyn czarny jak sadze, wskazał nam stolik i podał „menu”.

Mignela dysponowała, a ja przeglądałem menu, i z całego szeregu potraw rozumiałem tylko jeden wyraz „ananas”.

Mulat, czekoladowego koloru, podał bardzo elegancką zastawę, a jeszcze jaśniejszy metys, postawił dzban wody z lodem. Murzyn wniósł małą wazkę zupy i rozlał nam na talerze, z czego ona była, nie mam pojęcia, kolorem przypominała nieco czerninę, a smakiem, francuską cebulową zupę, mocno opieprzoną.

Towarzyszka zjadała ze smakiem — ja zaś zmusiłem się do kilku łyżek, aby jednak jej nie urazić, powiedziałem, że u nas częstują czarną polewką, odmawiając konkurentowi.

— Czy mam przyjąć to do siebie?

Tłumaczyłem to wszystko najwyrazistszą mimiką, ale bezskutecznie. Choć nie jestem przesądny, ale polewka słabe powodzenie wrożyła.

Po zupie, podano łososia z zielono-majowym sosem, na szczęście podanym osobno — gdyż ryba była bardzo smaczna — ale sos tak ostry, że można nim było się ogolić. Dalej nastąpiła baranina z różną, wyśmienicie upieczoną, ale nie szpikowaną, lecz inkrustowaną czosnkiem. Do tego podano świeżutkie masło, zawierające niepomiarową ilość, doskonale utartego czosnku i czerwonego pieprzu.

Znów wmuszałem w siebie atomowe kąski, podczas czego, Quarteron*) o barwie mlecznej kawy, przyniósł szampana w lodzie i nalał bardzo zręcznie płaskie kieliszki.

Wstałem z miejsca, ująłem kieliszek i mówiąc „A la vostra” wypilem do dna. Wino było bardzo zimne, ale słodkie jak ulep, z mdłym aromatem winogron „izabella”. Był to kalifornijski szampan. Mignela podniosła swój wymówiła kilkanaście słów, z których znowu nic nie rozumiałem i piła wolno, rozkoszując się smakiem, a ja kiwając głową jak Chińczyk porcelanowy, powtarzałem:

— Grazias! grazias!

Jako jarzynę podano tapinambour (coś w rodzaju naszych bulw) z gwoździkowym sosem. Tego już wcale jeść nie mogłem; dalej przyniesiono dwa ptaszki na grzaneczkach. Ucieszyłem się, że choć boża ptaszyna smakować mi będzie, lecz o retyl w żywocie swoim zawierała całą główkę czosnku, z którym została upieczona. Podczas zawziętej ekstirpacji owego nadzielnia, inny mulat przyniósł ogromny, zielony ananas i coś w rodzaju katarynki. Sciał ze zręcznością chińskiego kata zieloną koronę, wąskim, długim nożykiem, wyciął miąższ w kształcie głowy cukru, pokrajał go na cienkie plasterki i napowrót w pozostałą powłokę układał, przesypując cukrem, kawowym pudrem i skrapiając białym arakiem. Od czasu do czasu ubijał srebrną kopystką, przykrył koronę, wbił dwie drewniane szpilki i włożył do owej katarynki, która okazała się maszynką do zamrażania.

Mignela z wielkim apetytem spożyła ptaszki z całkowitą zawartością ja zaś trochę zielonej sałaty. Murzyn napełnił kieliszki i Mignola wzniosła toast, z którego zrozumiałem coś o przyjemnej znajomości i inżynierji. Kurtuazja zmusiła mnie znów do wypicia mrożonego ulepu. byłem zupełnie głodny, ale zostałem wynagrodzony owym zamrożonym ananase.

*) Mieszkańce murzyńsko-białe nazywają się Mulatami, mulatuso-białe Tarcernami, tarcerano-białe Quateranami. Czerwonoskór-białe metysy; murzyno-czerwonoskóre Sombosy.

Było to coś tak dziwnie wykwintnego i smacznego, że nic podobnego w życiu nie jadłem, to też mamutową część owocu ja spożyłem. Czarna kawa, jak lawa gorąca, słodka jak kalifornijski szampan, a czarna jak sam podający, zakończyła tę meksykańsko-czosnkową libację. Wypiłem z przyjemnością szklanekę lodowej wody i ślubowałem nigdy już do tej restauracji nie chodzić.

Podziękowałem towarzysze i poprosiłem o rachunek, ale gdy Murzyn mi go podał, ona porwała z tacy irytując się mocno i sama zapłaciła, nie pozwalając, abym choć w części przyjął udział. Mówiła i gestykulując pokazywała — że ona mnie zaprosiła — więc ona płaci. Wobec tak huraganowego nastroju — nie protestowałem.

Rozejrzałem się, gdzie są kwiaty, okazało się, że usłużny murzyn zabrał je, wstawił do wazonu z wodą, a nawet skrapiał niekiedy. Przy wyjściu podał je damie, owinąwszy bibułką lodygi. Dałem mu pół dolara, za co wygiął się w kabłąk.

Balvanera podała mi parasolkę i kwiaty abym je pottrzymał; wydobyła misterną bomboniereczkę i poczęstowała mnie jakimiś karmelkami. Wziąłem jeden — ona drugi. Obawiałem się, czy nie czosnkowe, ale przeczytałem „Adam’s pepsin gum”. Odetchnąłem! Znałem już ten przysmak. Jestto kauczuk nasyczony syropem owocowym, pepsiną i aromatyzowany. Taki karmelek można żuć kilka dni, a kauczuk nabierze dziwnej elastyczności. Amerykanki używają go częścią z nudów, częścią jako środek zapobiegawczy przeciw dyspepsji, która skutkiem ciągłego używania wody z lodem i sztucznego masła, wyrabianego z oleju nasion bawełny często się przytrafia. Sądzę jednak, że Mignola stosowała go również jako odwaniacza czosnkowego.

Zaczęliśmy przechadzkę po wystawie, porozumiewając się poważnie na migi. W oddziale fortepianów zasiadłem do jednego, zagrałem mazurka Szopena, mówiąc, że to polski kompozytor, ale lepiej podobał jej się czardasz, a skoro zagrałem „La paloma”, nadzwyczajnie się ożywiła i poprosiła o powtórzenie.

Podczas mojej gry, otoczyło nas kilkadziesiąt osób, dostałem brawo,

zagrałem więc Yankesom „Yankes Doodle”. Zerwała się burza oklasków i musiałem dwa razy jeszcze powtarzać. Moja towarzyszka rozpromieniła się cała, a gdy wstałem, ujęła mnie pod ramię i wyprowadziła z tłumu.

Nagle ujrzałem zdziwioną twarz kolegi, co mi przypomniało Russian Office — a zwłaszcza Chickena, mówiącego po hiszpańsku. Postanowiłem więc zaprowadzić tam Meksykankę i wyegzaminować, co zaccz za podwika. Skierowałem się przeto na lewo, ale już nie pod ramię. Mignela coś opowiadała o mojej muzyce i wrażeniu, jakie wywarła, a kolega podążył za nami.

Wprowadziłem ją do biura komisarza; było po 5-ej i liczna kompanja piła herbatę. Przedstawiłem Rakuz Suszczewskiego i Chickena, który ku wielkiej radości Meksykanki, zaczął z nią po hiszpańsku rozmowę.

Poleciłem mu, aby doskonale dowiedział się, co to za jedna. Zasiadliśmy do stołu, pijąc herbatę, która jednak niestety ustępowała owej hinduskiej.

Siemienicznow pytał mnie, gdzie zdobyłem taką pyszną damę i był zdziwiony, że nie mogąc porozumieć się w żadnym języku — jesteśmy już na tak dobrej stopie.

— Uważam ją za głuchoniemą, która mi się bardzo podoba.

Tymczasem Chicken bardzo wesoło prowadził rozmowę, do której przyłączyła się pani Sawiljewa, żona jakiegoś wystawcy, a potem jakiś dziwoląg z kolonji rosyjskiej w Chicago, urzędnik amerykańskiej firmy.

Chicken zostawił Mignelę na pastwę pani Sawiljewowej i podszedł do mnie mówiąc:

— Powiada, że jest żoną fabrykanta konserw mięsnych i rybnych, że mają olbrzymią fabrykę pod miastem Meksyko i mąż delegował ją specjalnie, aby się rozejrzała w tej branży, zobaczyła najnowsze opakowania i t. d. Jest tu od 3 dni i ma zamiar zabawić jeszcze z tydzień Zachwycona pańskim towarzystwem i jego muzyką, ale bardzo ją martwi, że nie może się z panem porozumieć i że mu potrawy meksykańskie nie smakowały. Musiałem jej również dać informacje, kto pan jesteś i po co przyjechałeś.

Przed wieczorem odwiozłem senorę nadziemną koleją do miasta. Mieszkała w hotelu „Palmer House” niedaleko od nas. Zapomocą mimiki, zegarka i planu Chicago umówiłem się, aby nazajutrz spotkać się na stacji kolei wystawowej i razem pojechać.

Rano poszedłem do księgarni i kupiłem słowniczek i rozmówki francusko-hiszpańskie, z godzinę studjowałem i podkreślałem czerwonym ołówkiem niektóre słowa zapamiętałem i wiedziałem, jak się dobrze orjentować w książce.

O 1-ej byłem na stacji, oczekując na senorę. Wkrótce nadeszła — zwróciłem się do niej:

— Buenos dias, senora! Como esta Usted?

Lica senory zajaśniały, uśmiechnęła się radośnie, wyciągnęła rękę odpowiadając:

— Gracias senior! — i masę słów jeszcze, których nic nie rozumiałem. Dano sygnał, ja zaś przeczytałem z książeczki:

— Ha llegado el momento de subir al coche (Czas siadać do wagonu).

I wsiedliśmy. Pociąg bieży brzegiem jeziora i pozwala obserwować setki leniuchów, łowiących od świtu do nocy, ryby na wędkę.

Towarzyszka dała dowód — że na obu półkulach pocziwiej naszej planety — niewiasty są zupełnie jednakowe: była starannie ubrana, miała świeżutkie rękawiczki, duże butony w uszach i mocniej naperfumowana, widocznie gwoili nihilowania zapachu czosnku.

Zwróciłem się do niej:

— Wszak perfumy, które pani używa są „Chasse ail”?

Ale nie zrozumiała.

Wybraliśmy pociąg ekspres, dążący wprost na wystawę, około 20 wiorst — bez zatrzymania się. Zwiedzaliśmy tam sztuki piękne, ogrodnictwo, gdzie wręczyłem siniorze cudne kwiaty. Potem jeździliśmy elektryczną łódką. Porozumienie, mimo książeczki, było zaledwie trochę łatwiejsze. Siniora aczkolwiek starała się wolniej mówić, ale zapominała i nie raz musiała paluszkami pokazać w książce, co chce wyrazić.

O 6-ej, jak było umówione, spotkaliśmy się z Siemienicznowem w Russian Office, zabraliśmy Chickena i we czwórkę poszliśmy do francuskiej restauracji, urządzonej z całym, paryskim wykwintem.

Wyśmienita zupa rakowa, ryba na białem winie, niebardzo Meksykance smakowały, niemiłosiernie bowiem dosypywała „red peper”,

Podano wspaniałego kapłona z różną z plasterkami trufl, podłożonemi pod chrupiącą skórę. „Sommelier” pokrajał go ze zręcznością profesora chirurga, a senora Miquela pokosztowawszy, oglądała się niespokojnie, jakby czegoś szukając — nareszcie nie wytrzymała: kazała podać czosnku, którym wytarła z zawziętością talerz. Sądzę, że żaden francuski kapłan, nie był w podobny sposób traktowany. Zdawało mi się — że plasterki trufl — aż kurczyły się ze wstydu, ale piękna towarzyszka z lubością dopiero, zaczęła go spożywać. Za mrożona „wdowa Cliquot” i wesołe opowiadania naszego dragomana i towarzysza Chickena wprowadziły pyszny nastrój, który druga butelka jeszcze spotęgowała.

Szepnąłem garsanowi, aby przyniósł kilka główek czosnku i gdy podano „fond d’artichant” z galanterją posunąłem towarzyszcę dla farsy ów czosnek i kajenę lecz o dziwo! ona jedno i drugie zastosowała przy jedzeniu karczocha.

Chciałem poczęstować owym ananasem zamrożonym, ale tego nie znali i jako deser dostaliśmy „pêche à la Cardinal”, które nadzwyczaj smakowały. Przy trzeciej butelce i owocach, wielka wesołość już panowała. Balwanera nie chciała pić więcej. Skierowałem do niej kieliszek mówiąc:

— Bebo à su salud de Usted, senora! (Piję za pani zdrowie).

Na co usłyszałem:

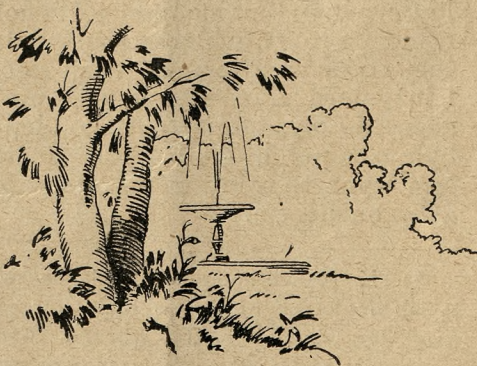
— A su salud de Usted! — i wypiła. A ja całując jej rączkę szepnąłem:

— Yo amo!

— Tak prędko? — odrzekła, ale śmiała się wesoło, skutkiem czego kazałem podać czwartą butelkę. Za nic w świecie pić nie chciała, ale w rezultacie dała się jeszcze ubłagać.

Obiad zakończyliśmy bez kawy, na którą udaliśmy się specjalnie do tureckiej kawiarni, a właściwie tureckiego cafe szantanu, urządzonego z całym wschodnim przepychem. Ormianki w barwnych strojach tańczyły, przybierając namiętne pozy, a prawowierni wyznawcy Proroka przygrywali i przyjmowali udział w niektórych tańcach z obnażonemi kindżalami i jataganami. Widocznie siedząc na niskich posłaniach i poduszkach, mimo woli, przybrać musieli „tureckie pozy” — pociągając nargile — zapijali doskonałą kawę z malutkich filiżanek.

c. d. n.



Z CYKLU SYLWETEK

HELENA ZBOIŃSKA—RUSZKOWSKA

Z powodu 25-cio letniego jubileuszu pracy scenicznej



Pierwszy raz usłyszałam ją w Krakowie. Śpiewała w „Janku” Żeleńskiego. Głos piękny, ale rozprysnięty w górnych tonach—zdawało się, już sforsowany. A twa-

rzyczka słodka wiejskiego dziewczęcia. Czarne oczy, patrzące prosto, szczerze z pod białego czoła i gęstych jasno popielatych włosów. W dwa lata później przyprowadziła ją do mnie Wanda Siemiaszkowa.

— Zaopiekuj się nią. Ciężko walczy z losem, a talent potężny.

Tak jedna wielka artystka—człowiek serdeczny — polecała drugą, która miała ją zostać.

Nigdy nie zapomnę pierwszej wizyty u Zboińskiej w Warszawie. Dwa maleńkie pokoiki, czystutkie, ale bardzo skromne. Matka, mały synek i ona — kwiat, rozkwitający z cudnego pączka. A taka prosta. Nic z kabotynizmu. Jak gdyby nigdy nie otarła się o teatr.

Mama przygotowywała kawę, której tajemnicę (śmietanka na spódzie, czarny płyn w górze), ona jedna tylko posiadała, za nic nie chcąc jej zdradzić. Hala — młoda wdowa — opowiadała mi dołą swoją.

Córka znakomitego tragika, który rywalizował z Królikowskim, wyszła za mąż, mając lat 16, za znanego artystę, komedjopisarza, Ruszkowskiego. Bardzo wkrótce, owdowiała i — zmuszona pracować na siebie i synka Wojtusia, — została urzędniczką. W dzień biuro, w nocy — przepisywanie, żeby wystarczyć na wszystko. A gdy zaczęto wołać zewsząd: „zbrodnia marnować głos taki piękny” zaczęła uczyć się śpiewu i wkrótce wstąpiła na scenę.

Ktoś inny — biorąc pierwsze lepsze role, nie to, co można, ale co trzeba było śpiewać, — skończyłby conajmniej na zerwaniu strun głosowych.

Nie Zboińska ze swoją niezwykłą muzykalnością, wielką rozumą, samokrytycyzmem i twardą, żelazną wolą, opanowywała wszystkie swoje zamierzenia.

Zrozumiała, co jej grozi. Więc — albo rzucić teatr i usiąść napowrót przy biurku, albo — wyjechać na studia.

Stypendjum krajowe pozwoliło jej przebyć znakomitą szkołę prof. Riessa w Wiedniu. Gdy przyjechała do Warszawy, śladu nie było tych rozprysnięć głosowych, które parę lat temu w Krakowie taką trwogą napełniały o cudny materiał.

Są talenty, olśniewające odrazu, żywiołową potęgą lub czarem wdzięku. Są inne — zwolna, stopień po stopniu zdobywające sławę.

Zboińska głosem podbiła krytykę i publiczność warszawska odrazu, zaś w żywioł sceny — akcję, ruch, mimikę, wyrazistość maski — mimo dziedzictwa po ojcu — wkraczać musiała powoli, aby z wielkiej śpiewaczki stać się i aktorką.

Warszawa poznała Zboińską jako Bronkę w „Janku” Żeleńskiego, a później — Ulanę w Marszu Paderewskiego, dwóch najmniej wdzięcznych rolach, bardzo małe pole dających do popisów głosowych. Pierwszą partją, która postawiła śpiewaczkę na wyżynach prawdziwego artyzmu, była „Zyglinda w „Walkirjach” Wagnera. Słodczy tej gołębicy, nieswiadomej przyszłych zadań swoich, nieswiadomej powołania, które kazało jej wydać na świat bohatera Zygryda; wielka prostota i powaga akcji, wielki beznamietny spokój nawet w chwilach miłosnych uniesień podobnych raczej do muzyki sferycznej nadświatowych przeznaczeń, aniżeli do zwykłych ziemskich porywów, wreszcie cicha niemoc grzesznicy, ściganej kłutwą, a białej i czystej mimo win swoich, bo dzieje jej, to dzieje symbolu, wszystkie te cechy miękkiej, na rezygnację bólu skazanej bohaterki, znakomicie nadawały się do charakteru, na stroju, i słodczy głosu Zboińskiej. To też występ w Walkirjach był prawdziwie doniosłym szczyblem w etapie jej sławy i zwrócił na nią uwagę nie tylko znawców miejscowych, ale i zagranicznych.

Dwaj muzycy niemieccy — jeden z Lipska, drugi z Berlina, bawiący w Warszawie podczas epokowej

chwili — jak dla sceny ówczesnej — wystawienia Walkirji, — zaliczyli naszą Zyglindę do najlepszych przedstawicielek tej roli.

Partje — Marynki w „Sprzedanej narzeczonej,” Karoliny w Wertherze, Desdemony w „Otellu,” uroczej Georgez Sand w „Chopinie,” Amelji w „Mazepie,” Tamary w „Demonie,” Tatjany w „Oneginie,” Marji Stalkowskiego i t. d. Wszystko to były szczyble coraz dalszej kariery. Artystka rozwijała się w oczach. Za każdym występem przybywał szczegół jakiś, zdobyty bezprzykładnie wytworami studjami. Wielki artystyczny umiar chronił ją od przekrzykiwania chórów i orkiestry, czem włoskie synogarlice zdobywały tani okłask paradyżu. Nic dla efektu, nic przez błagę i pomysłowych żonglerskich sposobów. Zboińska tylko dzięki talentowi swemu i niezwyklej muzykalności wybiła się na pierwszorzędną operową siłę.

W trzecim roku pobytu na scenie naszej wystąpiła w roli Halki, która jest kamieniem probierczym wytrwałości głosowej i dramatycznego nerwu każdej polskiej artystki. Sopran wysokie uważają ją za jeden z najważniejszych szczybli kariery swojej i marzą o niej, jak o perle repertuaru.

Przed Halką Zboińskiej były głucho pomruki: „nie dla niej — za tragiczna akcja...”

Słodka Zyglinda, czuła Desdemona, pokorna Amelja umiały tylko łamać ręce w bezradnej rozpacz. A Halka szarpie się, gniew, kurczy, pada i zrywa w krzyku oszalałej duszy. Halka dopiero przez piekło buntu dochodzi do cichej rezygnacji, przez wichurę starganych nadziei, przez ból obłędny.

Skarga bluźniercza i słodka pieszczota; groźba ranionej lalicy i ciche kwilenie dziecka; dzika drapieżność i szept zduszony modlitwy, walka i jęk pokonania cała gama uczuć w śpiewie Halki. Trzeba być pokorną i groźną, szaloną i jak jagnię, cichą, gwałtowną i słodką, hyeną i gołębicą. Stworzyć Halkę, wielką Halkę — trzeba umieć płakać na scenie łzami prawdziwymi.

Tak rozumiała ją i odtworzyła Zboińska. Ścisły pomruk „rola nie dla niej.” Łzy wyciskała sceną obłędu i scena modlitwy.



Po Halce przyszła Aida, dzika etjopska dziewczyna, która umie umrzeć z kochankiem, ale wydrzeć go sobie nie da. Jej spojrzenie — płomień, jej śpiew — krzyk triumfującej miłości lub narzekająca pieszczota, bunt dumnej córki królewskiej i wschodnia pokora niewolnicy, odmet szalu i tklivość bezbrzeża. Jak u Halki — niezmierzona skala uczuć, ale i innych, gryząca żądzą przepojonych. Nie wolno zmienić jednego akcentu, zdusić jednej nuty żaru bez uszkodzenia całości.

Tyle słońc pierwszorzędných przemknęło w tej roli. Każdy ton, ruch każdy nasuwa porównanie. I z tego turnieju wybrnęła polska primadonna z wycięsko, świecąc jasnym promieniem.

Po Halce i Aidzie przyszła Santuzza, Tosca, Walentyna z Hugonottów i tyle, tyle innych. Niema pierwszorzędných ról w dramatach Wagnera i Straussa, w operach Pucciniego, Leoncavalla, Masseneta, w których by nie czarowała słowiczym swym głosem, ciepłym i miękkim, a pełnym jędrności i siły czystego metalu.

Prawie u zenitu kariery i sławy scenicznej wyszła Zboińska za mąż powtórnie, za wysokiego urzędnika Ministerjum Skarbu w Wiedniu, p. Ferdynanda Sceligera. Wyjeżdżając co rok do cudnych ustroni Semmeringu, studiowała tam w górskiej ciszy i spokoju coraz nowe opery i pieśni. Doskonała pianistka, sama sobie akompanjowała. Każdy świeży sezon muzyczny błądził w kraju, bądź zagranicą (miała olbrzymie powodzenie w Madrycie, całych Włoszech i Ameryce) zastawał ją przygotowaną do ról, których żądały teatry. Stworzyła sobie przytem niepospolity repertuar pieśni staroklasycznych i współczesnych, odtwarzając je z przedziwnym pietyzmem i poczuciem stylu.

Gdy rozszalały się wichry wielkiej wojny — gorąca patriotka — pracowała według sił i możliwości dla wojska polskiego. Syn jej walczył na froncie od chwil najpierwszych.

Żyć i wtedy jednak nie mogła bez studjów muzycznych. Wiedząc, że kiedyś wypadnie jej porzucić scenę i podjąć pracę pedagogiczną — zapoznawała się u najwybitniejszych mistrzów z metodyką nauczania śpiewu.

Wolna Polska ściągnęła ją już chyba na zawsze do kraju. Osiadła w Warszawie wraz z mężem, który pracą swoją i pomysłowością —

jako Dyrektor Głównego Urzędu Loteryjnego — wzbogaca nie tylko skarb państwa, ale i przysparza źródeł dochodu instytucjom dobra publicznego, urządzając dwa razy do roku Loterję dobroczynną.

Tak więc służą Rzeczypospolitej oboje, a teatr w uznaniu zasług wielkiej artystki, urządził dnia 16 kwietnia roku b. jubileuszowe przedstawienie z jej najlepszą rolą Donny Anny w „Don Juanie” Mozarta.

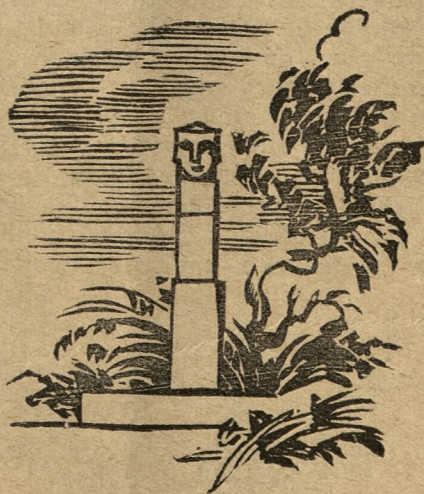
* * *

Nie zmarnowała Zboińska ani jednego dnia w swym życiu. Każdy przynosił jakąś inną zdobycz jej talentu. Dziś już nie tylko sama czaruje swym śpiewem tych, dla których teatr nie przestał jeszcze być zamkniętą świątynią, — ale zachwyca wysoce artystycznym i umiejętnie prowadzonym zespołem swych uczennic, który kilkakrotnie dał się poznać tego roku na estradach koncertowych Warszawy.

Nie słyszałam Zboińskiej w najnowszych rolach. Ale uroku i poezji jej głosu zawsze pełna jest moja dusza.

Więc jestem z tymi, co składają w dzień jubileuszowy hołd wielkiej artystce, wdzięczny za godziny oczarowań, jakie im dawała. I jestem z tymi, którzy — obcując z nią niegdyś wiele w życiu codziennym, podziwiali tę wielką prostotę i czystość serca, na którym ani jednej plamy nie zostawił teatr. I tę obowiązkowość, to umiłowanie domowego zacisza. Jestem z tymi, którzy wierzą w nią — człowieka prawego i wiernego pracy swojej, umiłowanemu, rodzinie, przyjaźni aż do śmierci.

C. Walawska.



FEMINIZM W STAROŻYTNEJ POMPEI

Pani Anna Scalera, profesor archeologii w Rzymie, wygłosiła niedawno bardzo ciekawy odczyt, w którym dowodziła, że na podstawie wykopalisk archeologicznych w Pompei, udało się jej ustalić fakt brania przez kobiety ówczesne bardzo żywego udziału w życiu politycznym.

Oto, jak twierdzi p. Scalera, mężowie pompejańscy nie tylko zasięgali w dawnych wiekach rady swych żon przy wyborach politycznych, lecz uważali za wskazane powoływać się przy wystąpieniach publicznych i agitacji przedwyborczej na ich opinię. Listy wyborcze bywały podpisywane imieniem wyborcy, po którym następował sakramentalny dodatek „wraz z żoną”. Bywały także takie ogłoszenia „Asselina radzi obierać Caiusa Secundusa”. Albo też: „Caprania, żona Nymphiusa, poleca wspólnie ze swym mężem tego kandydata”. W tym wypadku imię żony stoi na pierwszym planie i na nie położony jest główny nacisk.

Spotykają się także ogłoszenia tego typu: „Stabja i Petronia są zwolenniczkami obioru Caseliusa i Albutiusa. Obyż znalazły wiele naśladowczyń!”

W tym wypadku — według zdania p. Scalera — można przypuszczać, że wymieniona Stulia i Petronia, były to niewiasty zamożne, posiadające rozległe włości, i że pośród ich służebników mogli się znajdować tacy, którzy mieli prawo głosowania.

W każdym razie powyżej cytowane fakty historyczne pozwalają nam stwierdzić bez najmniejszej wątpliwości, że kobiety pompejańskie wywierały duży wpływ na życie polityczne w ubiegłych wiekach.

ZAWÓD A MAŁŻEŃSTWO

W przeciwieństwie do ogólnie rozpowszechnionego mniemania, jakoby praca zawodowa kobiety stanowiła przeszkodę w kierunku zawierania małżeństw, uczony francuski, p. Demourier wykazał, opierając się na podstawie przeprowa-

dzonych przez siebie badań statystycznych, iż największa ilość kobiet, wychodzących za mąż, rekrutuje się z pośród pracowników zawodowych.

Cyfry, ustalone przez prof. Demourier, przedstawiają się jak następujące:

Na 100 kobiet, zajętych pracą zawodową, wychodzi za mąż przed ukończeniem 30 roku życia od 65 do 81, zależnie od rodzaju pracy, a mianowicie: największa stosunkowo ilość małżeństw spotyka się wśród służących, praczek, kucharek. Na 1000 kobiet, trudniących się tym fachem, wychodzi za mąż 817. Dalej idą pracownice sklepowe, fabryczne i biurowe: ekspedjentki, maszynistki, buchalterki etc. Około 80 proc. tych pracowników wstępuje w związku małżeńskie przed ukończeniem trzydziestki. Odsetek nauczycielek jest już niższy, wynosi bowiem od 70 do 65 procent.

Natomiast t. zw. „panny na wydaniu” t. j. dziewczęta, nietrudniące się żadną pracą zarobkową, lecz oczekujące na męża w domu rodzicielskim, mają, jak się okazuje, najmniejszą szansę do wyjścia za mąż. Zaledwie bowiem 49 proc. tych „oczekujących” osiąga cel swoich marzeń!

Ciekawym eksperymentem byłoby przeprowadzić podobną statystykę i u nas, aby się przekonać, czy i Polacy wolą mieć za żony dziewczęta, umiejące fachową pracą zarobić na własne utrzymanie.

ŚMIERĆ DZIELNEJ PODRÓŻNICZKI

Pisma angielskie donoszą o niezwykle tragicznym wypadku, którego ofiarą padła młoda i dzielna podróżniczka Mrs. Green podczas swojej wyprawy do Kongo belgijskiego. Oto mianowicie podczas przebywania przełęczy górskiej na Mount Kenia, została ona nagle napadnięta przez olbrzymiego nosorożca. Odważna kobieta nie uległa się tej napaści i dała do rozjuszonego zwierzęcia 7 strzałów z rewolweru, który miała przy sobie — kule jednak zraniły tylko nosorożca, wprowadzając go w jeszcze większą wściekłość. Rzucił się on na nieśczęśliwą i obaliwszy na ziemię strącił ją nogami.

Zwłoki nieszczęsnej podróżniczki zostały przeniesione do najbliższej osady i tam narazie pochowane, zanim będą przewiezione do Europy.

Z. B.

Z REFLEKSYJ NA CZASIE

NAUCZYCIELKA I LEKARZ

Drobne sprawy dnia bieżącego nasuwają czasem przelotne refleksje, których nie notujemy nigdzie, — o których zapominamy z godziny na godzinę, choć nieraz są one ciekawe, charakterystyczne i właściwie wymagałyby głębszego zastanowienia.

Oto maleńki obrazek z życia — a na marginesie obrazka — maleńka refleksja.

Nauczycielka gimnazjum państwowego do swej ciężko chorej na szkarlatynę najstarszej córeczki wezwała lekarza. Choroba była ciężka, przebieg skomplikowany. Trzeba było wzywać lekarza kilka razy w tygodniu.

Mimo ustalonej t. zw. taksy lekarskiej, opiewającej cenę wizyty w domu do wysokości 15 złotych; doktor kazał sobie płacić złotych 30.

Po 10 wizytach lekarskich matka czworga dzieci, (żona urzędnika państwowego 5-ej kategorii) zapłaciła sumę 300 złotych — co wynosiło więcej niż połowę jej zarobku miesięcznego.

Powiecie mi Szanowni Państwo, że matka mogła korzystać z lekarza Kasy Chorych?

Tak! tylko, że niestety, gdy dziecko jest ciężko chore — matka wzywa nie tego lekarza, który jest w Kasie Chorych — ale tego, do którego ma specjalne zaufanie, choćby kwadransowa wizyta kosztowała nie 30 ale 60 złotych. Taką już jest psychologia chorego wogóle, a matki chorego dziecka przedewszystkiem. Ale czyż na tem jest oparta „zasada” normowania taksy lekarskiej?

Jeżeli nauczycielka szkoły średniej — posiadająca cenzus uniwersytecki, długoletnią praktykę pedagogiczną, może uczyć dzieci lekarzy, inżynierów i t. d. i t. d. biorąc cztery złote za godzinę, jeżeli może poprawiać zeszyty po nocach, długi szereg wieczorów w ciągu roku szkolnego przesiadywać na sesjach pedagogicznych, które nie mają zwyczaju kończyć się przed północą, jeżeli cała ta wielka suma pracy, wysiłków i odpowiedzialności może być wynagradzana tak skromnie, że z trudem zaledwie starczyć może (plus pensja męża, urzędnika 6-ej kategorii) na utrzymanie rodziny, złożonej z trojga dzieci — to pytam dlaczego lekarz, który również ma za sobą kilkoletnie studia i również dłuższą praktykę lekarską nie może

brać mniej niż 30 złotych za wizytę, która trwa 15 minut? Znam wielu bardzo wybitnych pedagogów — ale nie znam ani jednego, który zażądałby za naukę dziecka — 90 złotych za 45 minut lekcji, ba! nawet 30 złotych za godzinę lekcji!

Czyżby zasada normowania zarobków lekarza, była tak bardzo różną od zasady normowania zarobków nauczyciela, urzędnika państwowego, oficera i t. d. i t. d. Czy też poprostu w jednej dziedzinie pracy inteligenckiej można podbijać ceny, a w innej nie wypada?

p

STRZAŁKI

MĘŻATKA BEZ MĘŻA

Ostatniemi czasy pojawił się na terenie Rzeczypospolitej nowy typ kobiety — nazwałabym go „typem mężatki bez męża”.

Typ ten nie jest wyłącznie związany z glebą sarmacką, o niej wręcz przeciwnie, mam wszelkie dane przypuszczać, a nawet twierdzić, że został on przeszczepiony na nasz nader podatny grunt świata kobiecego — z ziem obcych. Nie będę dyskutować czy z zachodu czy ze wschodu, bo narazie nie interesuje mnie jego geneza. Interesuje mnie sam typ. A więc... „mężatka bez męża”. Typ — jak wyżej powiedziano — spotykany często — szczególnie w cukierniach (godziny południowe i podwieczorkowe), na dancie, na balach, redutach na lekcjach tańca i t. p. Są to damy, ubrane elegancko, bardzo modnie. Mają swój sznyt! Bywają dużo w towarzystwie panów, zazwyczaj kręci się koło nich jakiś podtatusiały lowelas, czasem oficer, nierzadko urzędnik z ministerstwa spraw zagranicznych, który, rzecz oczywista, musi mieć minę lorda w służbie dyplomatycznej i musi być au courant wszystkich plotek i ploteczek wielkiego świata polityki europejskiej.

Typ mężatki bez męża ma kilka odmian.

Do pierwszej odmiany zaliczę damę, której mąż nikomu nie jest znany — i mało kogo obchodzi. Wiadomo tylko, że jest. Istnienie jego podkreśla nazwisko pani, kończące się na „owa”, „ina” lub „yna”. Jeżeli nazwisko kończy się na „ska” lub „cka” — co nie uwypukla, że się tak wyrażę, stanu cywilnego damy — wówczas do nazwiska doczepiany jest fach męża i dama występuje w świecie z tytułem męża — jako inżynierowa, doktorowa, pułkownikowa, dyrekto-

rowa i t. p. O ile dama przyjmuje u siebie w domu (co się z powodu braku mieszkań b. rzadko zdarza), wówczas w czasie rozmowy wtrąca od niechcienia, że „mąż wyjechał wczoraj na czas dłuższy, — lub nie wtrąca nic i milczenie na ten temat nikogo nie dziwi.

O ile dama bez męża jest rozwódką, wówczas od czasu do czasu na powierzchnię jej rozmów wypływają aforyzmy na temat mężczyzny, miłości, życia (lub temu podobnych, nadających się do aforyzmów pojęć) — i aforyzmy te, wypowiedziane z uśmiechem różowych usteczek, tchną smutną rezygnacją, płynącą z bolesnego doświadczenia. Te damy mówią o swoim mężu rzadko, ale naogół lubią, gdy je o to zapytuje rodzaj męski.

W przeciwieństwie do pierwszej odmiany — odmiana druga obdarzona jest instynktem macierzyńskim. Tak... instynktem, bo nie dziećmi.

„Chciałabym mieć dziecko” mówi taka dama z rozmarzeniem w oczach — a potem dodaje echowo — „chciałabym mieć dziecko z ukochanym człowiekiem” — nacisk kładzie się na słowie „ukochany” i w ten sposób podkreśla się dyskretnie pustkę w życiu.

Gdy jednak los chce — że damy z pierwszej lub drugiej grupy mają syna lub córkę, wówczas, patrząc na swoją latorośl, chętnie czynią zwierzenia mniej więcej takiej treści,

„Gdy Juruś przychodził na świat miałam lat 19.” Z biegiem lat Juruś lub Haneczki — cyfra lat mamy zmienia się — poprostu mówiąc: opada — tak, że gdy Juruś zapisuje się na drugi semestr prawa — mama jego zwierza się z bolesiściem wzdychaniem:

„Gdy Juruś przychodził na świat, nie miałam nawet lat 17-tu.”

Uprzejmy słuchacz domyśla się z całą kurtuazją, że mama miała wówczas najwyżej lat 12 cie.

Dla ścisłości stwierdzić należy, że Juruś lub Haneczka, są niesłychanie rzadkiem zjawiskiem na tle życia „mężatki bez męża”.

Jednak mimo wszystko typ „mężatek bez mężów” na glebie polskiej nie osiągnął jeszcze tej imponującej cyfry, co n. p. we Francji.

W każdym jednak razie tak bardzo w tyle pod tym względem nie pozostajemy. Nie mamy się czego wstydzić.

ZDROWIE NASZYCH DZIECI

FIZJOLOGJA NOWORODKA I NIEMOWLĘCIA

Ząbkowanie. Czas wyrzynania się ząbków jest bardzo rozmaity; przeciętnie jednak u dziecka zdrowego, karmionego piersią, ząbki pojawiają się w następującej kolejności i czasie:

1) Najpierw między 6-ym a 12-ym miesiącem siekacze — wewnętrzne dolne, potem górne. Zwykle przeryniają się między 6-ym a 7-ym miesiącem.

2) Grupa trzonowych w liczbie 4 — 2 u góry, 2 u dołu — zjawia się między 12-ym, a 24-ym miesiącem życia.

3. Kły — między 12-ym a 24-ym miesiącem; najprzód 2 górne, potem dolne. Dziecko dwuletnie powinno mieć 16 zębów.

4. Wreszcie między 24-ym a 30 miesiącem mleczne uzębienie się kończy na 4 trzonowych. Razem więc dziecko trzydziestomiesięczne ma 20 zębów.

Czasami wyrzynanie się ząbków odbywa się daleko później, szczególnie u dzieci karmionych sztucznie, źle odżywianych, rachitycznych i tych, które ciężiej chorowały w pierwszym roku życia.

Układ nerwowy. Należy liczyć się z faktem, że ośrodki nerwowe dziecka są bardzo rozwinięte. Mózg dziecka stanowi 7-mą część wagi ciała (u dorosłego zaś 46 wagi ciała). Rdzeń pacierzowy dziecka jest również stosunkowo więcej rozwinięty (3 razy więcej niż u dorosłego). Nic więc dziwnego, że układ nerwowy dziecka silniej reaguje na różne bodźce, niż układ nerwowy człowieka dorosłego i tem się tłumaczy, dlaczego najrozmaitsze przyczyny, jako to: choroby gorączkowe, alkohol i wiele innych, mogą wywołać u dziecka drgawki.

Z wrażliwością układu nerwowego noworodka, matka powinna się liczyć i od pierwszych chwil jego życia, odpowiednio regulować swoje postępowanie. Noworodek potrzebuje przede wszystkim jak najwięcej spokoju — należy więc pozwolić małemu człowiekowi żyć własnym życiem zwierzęcem do chwili, gdy jego inteligencja nie rozbudzi się sama ze siebie; nie należy przyspieszać i dopomagać do tego rozbudzenia: Zwykle dziecko pod koniec 1-go miesiąca życia zaczyna się uśmiechać, wkrótce zaczyna słyszeć i widzieć, interesuje się otoczeniem; w 6-ym mie-

siącu rozpoznaje osoby, objawia swą radość i zadowolenie krzykiem; pod koniec roku wymawia kilka pojedynczych sylab, gaworzy, a przed końcem drugiego roku układa coś w rodzaju zdań. Czasami dzieci, a szczególnie chłopcy zaczynają mówić później niż w końcu 2-go roku życia, nie trzeba się tem niepokoić. Oczywiście, o ile ta niemota przeciąga się poza 2½, 3 lata, trzeba szukać jej przyczyn, które najczęściej są pochodzenia mózgowego.

Chodzenie. Rzadko kiedy dzieci zaczynają chodzić przed końcem pierwszego roku życia, zazwyczaj stawiają pierwsze kroki dopiero po 12 miesiącach. Czas rozpoczęcia chodzenia jest zależny od kilku czynników. Dzieci karmione piersią, wychowane w dobrych warunkach higienicznych, zwykle zaczynają chodzić wcześniej — między 12-ym a 14-ym miesiącem życia. Dziecko karmione sztucznie, zaczyna chodzić później, między 18-ym a 24-ym miesiącem, a nawet jeszcze później. Zdarza się, że dziecko, które już chodziło, przestaje chodzić, jeżeli n. p. w międzyczasie rozwinęła się krzywica (rachityzm — choroba angielska), choroba, której towarzyszą zmiany w kościach.

Cieężar dziecka może niekiedy również mieć wpływ na jego chodzenie. Dzieci o wadze średniej zaczynają chodzić wcześniej i lepiej; dzieci grube, tłuste — często rachityczne, uginają się na swych nożkach; w tych razach nie należy dopuszczać do zbyt wczesnego chodzenia. Na opóźnienie chodzenia mogą wpłynąć również inne choroby, wstrzymujące ogólny rozwój dziecka. Z chwilą, gdy dziecko próbuje chodzić, trzeba go tylko pilnować, pozostawiając mu zupełną swobodę ruchów.

Przyrost dziecka.

1. Waga (cieężar). Ważenie niemowlęcia ma pierwszorzędne znaczenie w jego chowaniu; pozwala nam ono w sposób dokładny ocenić wagę ciała; waga dziecka pozostaje w ścisłym związku ze stanem jego zdrowia. Dziecko powinno być ważone nagie; ważenie w pieluszkach i następnie odejmowanie wagi pieluszki od wagi ogólnej, często może być źródłem pomyłek. Oczywiście ważenie trwać powinno krótką chwilę i odbywać się w ciepłym pokoju, choćby przy piecu. Najlepiej ważyć dziecko rano przed kąpielą, potem od razu kłaść je do ciepłej wody; w ciągu pierwszych piętnastu dni powinno się ważyć niemowlę codziennie (o tej samej porze); o ile dziecko w tym

czasie rozwijało się normalnie i regularnie przybierało na wadze, można je potem ważyć raz na tydzień, zawsze jednak o pewnej określonej godzinie, otrzymane w ten sposób dane powinno się zapisywać na tygodniowej karcie wagi. tygodniowy wykres wagi ułatwia orjentowanie się, czy dziecko rozwija się prawidłowo, czy jest odpowiednio odżywiane. To też na regularne ważenie dziecka należy kłaść jak najsilniejszy nacisk. Noworodek, urodzony w swoim czasie, dobrze zbudowany, zdrowy, waży przeciętnie 3,250 — 3,500 gr. dzieci ważące 4 kg. należy uważać za duże; dzieci, ważące 5 kg. należą już do fenomenów. Dzieci o wadze poniżej 2,5 kg. należy uważać za „wątłe” i wychowanie ich wymaga specjalnych starań. A jednak spotyka się wagi jeszcze niższe, dochodzące do 1,5, a nawet 1 kg. Zdarza się to u dzieci przedwcześnie urodzonych, lub też dzieci matek, lub takich, które chorowały podczas ciąży.

Przyjmujemy zatem, że dziecko w chwili przyjścia, na świat waży 3,25 kg. Przez pierwsze 3 — 4 dni traci ono na wadze, co jest najzupełniej zrozumiałe, gdyż odżywia się bardzo mało (wydzielanie mleka u matki rozpoczyna się na dobre w 3 — 4 dni po urodzeniu), a oddaje przecież mocz, wydalą smółkę i traci pewną ilość wody przez oddychanie płucne i transpirację skóry. Ta strata wagi dochodzi przeciętnie do 150 — 200 gr. — jest to strata normalna, „fizjologiczna”. Przy karmieniu noworodka czy to przez mamkę, czy też z buteleczki, należy naśladować naturę — to znaczy, niech maleństwo pości przez pierwsze 24 godziny, dopiero po upływie tego czasu można je przystawić do piersi mamki, lub też dać mu buteleczkę i to bardzo oględnie. Nie trzeba opychać noworodka ani wodą słodzoną, ani też rumiankiem — ten przymusowy post napewno mu nie zaszkodzi. — Po pierwotnej stracie wagi, dziecko zaczyna „przybierać na wadze” i zazwyczaj ku końcowi pierwszego tygodnia powraca do swej pierwotnej wagi. Zdrowe, dobrze odżywiane dziecko przybiera na wadze w sposób zupełnie prawidłowy, określony ze stałą stopniową zniżką.

Oto tabliczka tego przyrostu.

przez pierwsze 2 miesiące od 25 do 30 gr. dziennie.

Przez 3-ci i 4 ty mies. od 20 do 25 gr. dziennie.

Przez 5-ty i 6 ty mies. od 15 do 20 gr. dziennie.

Przez 7-my i 8-my mies. od 10 do 15 gr. dziennie.

Przez 9-ty do 12-go mies. od 8 do 10 gr. dziennie.

W rok zatem (mowa tu o dziecku mającym 3,25 kg. wagi w chwili urodzenia) dziecko waży 9 kg. mniej więcej, w końcu 2-go roku waga takiego dziecka dochodzi do 11 kg. W ciągu drugiego roku przyrost dzienny wynosi 8 gr. w pierwszych miesiącach, a 3 gr. w ostatnich. Poniższa tabliczka uwiódźnia nam, że ten przyrost wagi nie jest jednostajny — szybki w zaraniu życia, zmniejsza się w miarę tego, jak dziecko rośnie.

Oto tabliczka:

	Przyrost	Waga przeciętna
Chwila urodzenia	0	3.250
1 miesiąc	750	4 000
2 „	700	4 700
3 „	650	5.350
4 „	600	5.950
5 „	550	6.500
6 „	500	7.000
7 „	450	7.450
8 „	400	7.850
9 „	350	8.200
10 „	300	8.500
11 „	250	8.750
12 „	200	8.950

Liczyby te służą jako punkty orientacyjne do wyprowadzenia krzywej normalnego idealnego przyrostu wagi od urodzenia do 12 mies. życia. Krzywą tę uważać należy za przeciętną. Krzywa danego dziecka może przebiegać nieco wyżej, lub niżej od powyższego wzoru, w każdym razie jednak powinna być równoległa do niej. (c. d. n.)

DWIE WYSTAWY

Akwaforty i obrazy Zofji Stankiewiczówny w „Salonie Sztuki” C. Garlińskiego; prace Mieczysławy Rozbickiej w „Salonie Sztuki” Marszałkowska 69.

(Kwiecień)

Przypadek sprawił, że w dwóch salonach sztuki równocześnie wystawiły swe prace dwie kobiety: Zofja Stankiewiczówna u Cz. Garlińskiego, — Mieczysława Rozbicka w salonie sztuki na Marszałkowskiej.

Gdy zwiedziło się obie te wystawy, na suwa się chęć, jeżeli nie porównań, to zestawień. Tem więcej, że pierwsza z artystek oddawna zajmuje poważne miejsce w polskiej twórczości kobiecej jako akwafortistka i malarka, — druga — zaczyna, wchodzi dopiero w świat ze swą artystyczną mową,

Zestawienia, noszące charakter przeciwstawień, nasuwają się dalej. Sztuka Zofji Stankiewiczówny jest spokojna, zrównoważona, dojrzała — w sumie jednostajna; talent M. Rozbickiej zacieka różnorodnością i śmiałością. Kryje się w nim cały świat możliwości, — lecz niewiadomo, nad czym się artystka najmocniej zamyśli i na czym się skupi.

Stankiewiczówna jest realistką, jest trzeźwą i intelektualistką, patrzącą na świat bez majaczeń wyobraźni, z zamiłowaniem raczej do drogi przeciętnej, „zdrowego” widzenia.

Rozbicka ma fantazję, temperament, ciekawość życia psychicznego, które kształtuje swą cielesność (stąd zapewne całe szeregi portretów i studjów o wyraźnym zacięciu do charakteryzacji, — portretów zresztą zbyt mało przemyślanych); kocha naturę i mówi o tem krajobrazem uproszczonym, wystylizowanym i zięjącym niekiedy własną, nierealną ekspresją („upał,” — który nadawałby się bardzo na gobelin).

Stankiewiczówna wystawiła kilkadziesiąt akwafort, w których po męsku, pewną ręką kreśli fragmenty starego miasta: Warszawy, Krakowa, Wilna, gęstą siateczką kresiek, zdobywając głębokie cienie, mocno kontrastujące ze światłami, — lub nieco większemi, spokojnemi, kolistemi kreskowaniem, tworzy obłoki i szereg urywków krajobrazowych (wśród nich pod względem technicznym ciekawe śpiące łabędzie, o zlekka kubistycznie pojętych łamanych płaszczyznach i piękne litografie: „dęby” i „wśród śniegu”).

Stankiewiczówna wypowiada się najmocniej przez sztukę graficzną, — w obrazach — przez martwą naturę (Księgi, pergaminy). Nie czuje w niej natomiast zestrojenia się z przyrodą; to, co daje z tej dziedziny, jest tylko widzeniem, obserwacją, albo, niekiedy — dziwnym u niej, gdyż łatwym sentymentalizmem („Galary,” „Legenda,” jedna z odmian „Łabędzi”).

Technika Stankiewiczówny jest jednak zawsze dojrzała i pewna, artystka pracuje w sposób wytrawny i świadomy.

Sprawy te są u p. Rozbickiej jeszcze najslabsze. Polot, śmiałość i bogactwo pomysłów niezawsze znajdują sobie formę bez zarzutu.

„Kobrian” np. i inne studja, dobre co do wyrazu, nie posiadają konsystencji, są wiotkie i bez bryły. To samo można powiedzieć o sępach, bardzo dobrych w ruchu, lecz bezcielesnych (ta „bezcieleśność” nie wydaje się chcianą i świadomie przez artystkę wydobytą).

Bardzo ciekawe są krajobrazy: „W pogodny dzień,” „Chmurki” — i stylizowane drzewa, w których, dając sylwetki i masy, artystka osiąga wyraz całości.

Zdolność Rozbickiej do syntezy i uproszczeń znalazła ładne zastosowanie w kompozycjach dekoracyjnych (ciekawa zwłaszcza kompozycja na płótnie z motywem ptaków.

N. Samotybowa

Z KSIĄŻEK

„Miasto księżyców” Stanisław Baliński. Wyd. „Książki Ciekawe,” Warszawa, str. 174.

„Tajemnica leży zawsze między linjami”.

„Zakończenie snu mogłoby być śmiercią dla tych, którzy nie mogą się obudzić.”

„Koniec Rodziny Jasnych.”

Zbiorkiem nowel, zatytułowanym imieniem pierwszej opowieści „Miasto księżyców,” młody poeta wyraźnie zadokumentował swoją postawę wobec życia i rzeczywistości. Jego twórczość polega na oglądaniu życia przez pryzmat marzenia. Załamane w niem promienie dają nam wizję rzeczywistości innej nieco, niż ta, którą nam kazali oglądać pisarze realistyczni. A że przyzwyczajenie staje się drugą naturą, więc zdarzenia i ludzie, malowani przez Balińskiego pędzlem zrobionym z warkocza zaczarowanej księżniczki, a maczanym w płynnym srebrze księżycowego blasku, wydają się nam zrazu widziadłami z bajki, których niezaprzeczalna konkretność dziwnie harmonizuje z ich somnambulicznym bezwładem, bezruchem, biernością, fatalistycznym poddaniem się siłom tajemnym, które pomimo wszystko, robią swoje.

Bohaterowie Balińskiego naogół nie mają tego, co się potocznie nazywa psychologią. Ich czynom rzadko towarzyszy pełna świadomość. Żyją na dnie bezwiednej, jak wodorosty na dnie oceanu. Życie ich zewnętrzne jest jeno wegetacją, oświetlaną przez oślepiającą błyskawicę marzenia. Dola ich jest zahamowana, albo, jak dziecko, prowadzona za rękę przez tatusia o obliczu zakrytem.

Nie co innego, jak ta siła fatalna przeznaczenia zadzierga w samobójczą pętlę „Ostatni krawat Aleksego”, podsuwa pod oczy Seweryna Danina zwiastujące śmierć „Lus-ro,” zapowiada niechybny „Koniec Rodziny Jasnych” zamyka niedośpiewaną „Tajemnicę duetu miłosnego.”

Na imię jej: „wyobraźnia.”

Mała, przysadzista panusia, która co wieczór wsuwa się do kuchenki, nastawia zegar, a potem siada na niskim kantorku i bezmyślnie patrzy przed siebie. Rano nigdy już jej niema.

Ona to wygania z zapadłej miejsciny romantyczne i śmieszne rodzeństwo w daleką podróż — w Zmierzch.

Bowiem, „są takie nadzwyczajne wędrówki, o których nikt nie wie. Są odbycia, za które się płaci życiem, a wywołują tylko uśmiech. Może na piecu w moim pokoju kryją się skarby, o których nie wiem?”

Niepoprawnym poszukiwaczem tych skarbów jest Baliński. Fantazja jego błąka się po krainie snów, jak urzeczona „światłem dnia nierzeczywistego.” Upaja się sama i poi innych księżycowem winem poezji. Tem samym winem, które w „Mieście księżyców” zamienia najpospolitszych ludzi w wędrowne planety. Rzecz dziwna! sprawę tych cudów nazywają obłąkaniem, szarlatanem, zbrodniarzem, „a nikt nie zwrócił uwagi, nikt nie powiedział nigdy, że on jest poeta.”

Trzeba być naprawdę poetą i to nie bylejakim, żeby tak, jak to zrobił Baliński, odmalować „Koniec Rodziny Jasnych,” ludzi, „którzy zgubili rzeczywistość.” „Epilog rodziny z pokolenia, które żyło kiedyś podwójnie! Zabłąkani w ogrodzie snu! Już nawet nie o przeżycie chodzi, o życie, o codzień! Rozumieją i machinalnie załamują ręce. A rozpacz — ta właściwie jest nieistotna.”

Nieistotność życia rodziny asynych stanowi właśnie treść opowiadania. Pozorna irracjonalność założenia rozwiewa się pod czarodziejskim dotknięciem poezji. Nierealność staje się życiem. „Nie śmiej się, jeżeli nie rozniesz, co to znaczy: żyć swoim opowiadaniem.” T. P. O.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazał się w druku pierwszy numer „Wiadomości Muzycznych,” miesięcznika ilustrowanego, wydawnego przez Warszawski Związek Muzyków pod redakcją Edwarda Wrockiego. Numer ten, wydany w szacie wytwornej i ozdobiony licznymi ilustracjami, zawiera treść następującą:

„O świętej sztuce muzyki” — Wł. Boruckiego; „Muzyka, jako objaw życia społecznego” — A. Szuluty; „Cechy i elementy twórczości M. Ravel’a” — J. Korala; „W sprawie Filharmonii ludowej” — St. Kazury; „Muzyka na wystawie dydaktycznej” — S. S. „Szopen po amerykańsku” — F. Hoesicka (recenzje z książki Hunekera o Szopenie). Kronika, dział organizacyjno-zawodowy i t. d.

Jak widać z dołączonego prospektu, redakcja „Wiadomości Muzycznych” zamie-

rza w najbliższym czasie przekształcić to pismo na dwutygodnik, celem uczynienia swego działu sprawozdawczo muzycznego bardziej aktualnym. Zapowiedziany jest także dział bibliografii polskiego słowa muzycznego.

Pismo utrzymane jest na wysokim poziomie artystycznym i stanie się niewątpliwie, obok „Muzyki,” najpoważniejszym organem muzycznym w Polsce.

Wyszedł z pod prasy pierwszy numer czasopisma, poświęconego literaturze i sztuce p. t. „Tygodnik Wileński.”

Przedewszystkiem znajdujemy w ozdobnym numerze artykuł Boy’a o literaturze francuskiej p. t. „Spowiedź Boy’a.”

Czesław Jankowski drukuje artykuł o „Oknie Murawjewa.” Pr. W. Lutosławski pisze o Conradzie i W. Piotrowicz „o naszych Antenatach,” czyli o poprzednich Tygodnikach Wileńskich. Pr. J. Kleiner przemawia za rychłym sprowadzeniem zwłok Słowackiego, St. Węśławski — w obro nie muzyki polskiej.

Z poezji mamy Wiersz L. Staffa, w odcinku nowelę M. J. Wielopolskiej

Redaktor pisma W. Hulewicz artykułem o pomnikach Mickiewicza w Polsce otwiera ankietę na powyższy temat. W końcu krytyka książek, przegląd tearrów, i czasopism i notatki.

Na półkach księgarskich ukazał się nowy numer (2) kwartalnika artystycznego „Południe” pod redakcją Stanisława Woźnickiego. Obfitą treść numeru stanowią artykuły oryginalne: Wacława Husarskiego — „Posąg Matki Boskiej w Kazimierzku”; M. D. — „Przebudowa Gmachu Prezydium Rady Ministrów w Warszawie”; Jerzego Siennickiego — „Kościół Św. Trójcy w Lublinie” (dokończenie); Adama Dobrodzickiego — „Przestrzeń sceniczna” oraz tłumaczone: M. Maykowskiej — „O stylu wzniosłym” (Rozprawka grecka nieznanego autora z I wieku po Chr.); Józefa Strzygowskiego — „Płyta grobowca Hegezo” (doskonały przekład analizy krytycznej dzieła sztuki); Waldemara George’a — „Stan współczesnego malarstwa francuskiego (gruntowne zobrazowanie prądów w sztuce współczesnej).”

Wyczerpująca kronika zawiera szereg sprawozdań z dziedziny malarstwa, architektury i teatru, informuje o ruchu artystycznym zagranicą, podaje przegląd książek, czasopism i t. p. Zeszyt bogato ilustrowany reprodukcjami dzieł artystów polskich i obcych oraz zdjęciami fotograficznymi wydany jest nader starannie i estetycznie.

DZIEŃ POLSKI

PISMO CODZIENNE

POLITYCZNE, EKONOMICZNE,
SPOŁECZNE I LITERACKIE.

w najszerszym zakresie omawia zagadnienia
gospodarki rolnej.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

WARSZAWA, SZPITALNA 1, TEL. 49-04 i 30-54

Prenumerata miesięczna zł. 3.50.

Na żądanie wysyłamy egzemplarze okazowe.

SPRAWOM OŚWIATY DOROSŁYCH POŚWIĘCONY

wychodzi staraniem

Związku Polskiego Naucz. Szkół Powszech.

DWUMIESIĘCZNIK

POLSKA OŚWIATA POŻASZKOLNA

Prenumerata 8 złotych rocznie.

Na żądanie wysyła się roczniki z 1924 roku.

Adres Administracji: Świętokrzyska 30, m. 11.

Konto czekowe P. K. O. № 8736.

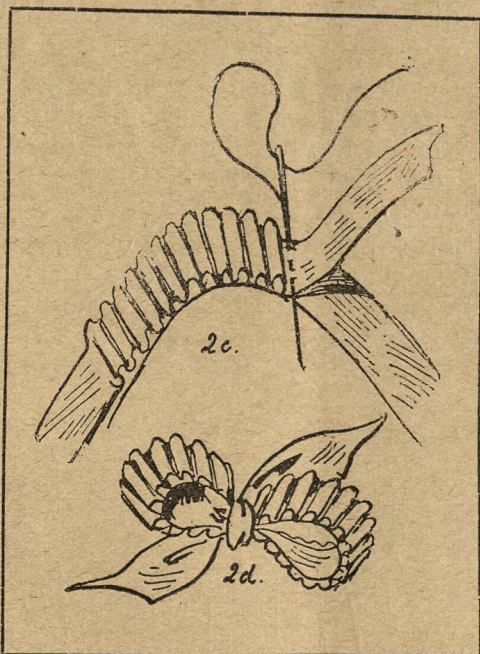
DWA KAPELUSZE ZROBIONE WŁASNORĘCZNIE



1

Obecna moda wymaga, aby kapelusz zastosowany był ściśle do sukni, dobrze jest więc umieć go zrobić samej i dzięki temu móc ich mieć kilka. Z łatwością można zrobić własnoręcznie kapelusiki, których wzory podajemy wraz z opisem jak je wykonać. Kapelusz rys. 1 ze wstążek rypsowych № 12, w kolorze dowolnym robi się w sposób następujący: na rondko bierze się groelinę na główkę sztywny muślin—Rondko kraje się tak jak, to rysunek 1-a wskazuje, z tyłu wąsko—z boków i z przodu szerzej—zeszywa go się, obszywa wokoło mościeżnym drucikiem, nacina i załamuje od środka. Aby podnieść rondko z przodu, trzeba je odpowiednio wyprasować i wygiąć drucik. Oddzielnie robi się główkę zeszytą z prostego pasa i czterech

kwaterek muślinu (rys 1b). Cały kapelusz złożony powinien wyglądać jak na (rys. 1c). Rondko i główkę, każdą część z osobna pokrywa się wstążkami bacząc, aby zachodziły jedna na drugą i zeszywa się części kapelusza drobnymi ściegami które przykrywa się wąską wstążeczką, otaczającą kapelusik. Zgrabna kokarda umocowana na czubku główki nakrywa połączenie



wstążek, złożonych płasko jedna na drugą i przymarszczonych.

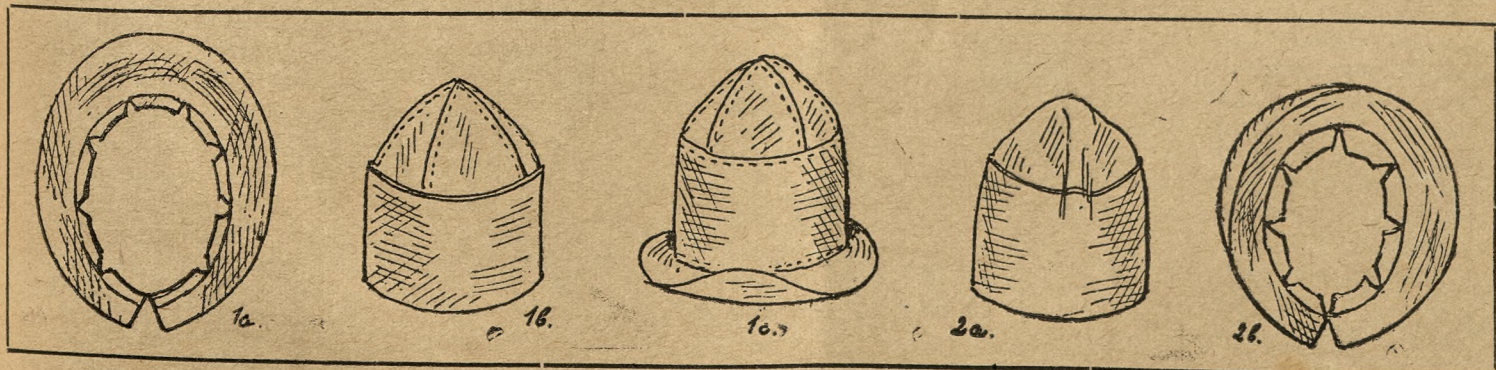
Kapelusz (rys 2) jest zrobiony na foremce z groeliny — z pod-



2

niesionem z boku rondkiem. Pas otaczający główkę, kraje się ze skośnego kawałka groeliny — zeszywa go się z tyłu — tak aby był węższy trochę od góry—wszywa się druciki u góry i u dołu i za pomocą nich nadaje mu się formę owalną (rys 2a). Zanim połączy się czubek miękkiej główki z pasem stanowiącym jej dolną część, trzeba obciągnąć je skośnym kawałkiem atlasu, charmeuse'y lub crêpe de chine'u — następnie przyszywa się górę główki, także owalną do pasa i łączy się główkę z rondkiem skrojonem, jak na (rys. 2b), pokrytem również skośnym pasem materiału.

(Rys. 2c i 2d) wskazują jak ułożyć wstążkę i jak związać kokardę, którą kapelusz jest przybrany z boku.





„CASACQUE”

„Casaque” dosłownie jubka — sukmanka — ród swój wywodzi ze wschodu, którego powojenny wpływ na modę stworzył coś na wzór czerkieskiego kubraka a pomysłowość paryskich mistrzów dostosowała go do współczesnego życia.

„Casaque” to właściwie długa bluza, sięgająca co najmniej do kolan, bluza, która w obecnej modzie najpierwsze bodaj zajmuje miejsce.

Nosi się ją prostą, wąską, fasonem koszulkowym, lub odcinaną poniżej bioder i układaną w fałdy, plisy, a nawet rozszerzającą się ku dołowi w formie kloszowej falbany.

Jest to niewątpliwie objaw mody wrózący powrót szerszych spódnic, w przededniu którego bezwarunkowo jesteśmy.

Równocześnie z rozszerzeniem dołu — dawne prawo obywatelstwa odzyskuje pasek. Pasek-szarfa — wiązany z tyłu, szeroki pas z miękkiej zamszowej skóry w różnych kolorach, ślicznie wyglądający przy skromnej, prostej bluzie i wreszcie paski misternie uplecione z paciorków, w tysiącnych

odmianach i kombinacjach kolorów.

Do „casaques” letnich, zrobionych z leciutkich materiałów nosi się przeważnie rękawy krótkie, kimonowo wykrojone, razem z bluzą, lub co najwyżej przydłużone falbany lub bufką uplisowaną w drobne fałdeczki. — Za to przy bluzach z jedwabiu, crêpe marocain i wogóle materiałów mniej przejrzystych widzimy nieraz rękawy długie, obciskające rękę, a przy dłoni ujęte w fantazyjny mankietik.

Dół sylwetki ubranej w taką bluzę stanowi wążutka i krótka spódniczka — naturalnie tonem odpowiednia do góry.

Materiały używane na „casaques” to etamina, crêpe georgette, crêpe de chine, jedwab surowy, woale, fular i wszelkie odmiany kreponów, obok gładkich — deseniowe, w pasy, kratę i najróżniejsze fantazyjne desenie w których jako kolor przeważa ponsowy, zielony i lila: ponsowy we wszystkich odcieniach, a przede wszystkim czerwony assyryjski i „lilas rose” t. zw. „cyclamen”, to ostatni krzyk mody.

Najświeższą nowością są materiały tak farbowane, że od dołu jest deseń np. na ponsowym — biały, od góry zaś na białym tle — ponsowy.

Haft króluje jak dotąd, widzimy haft angielski, haft włóczką i sztucznym jedwabiem, a bogactwo kolorów i subtelny, choć śmiały ich



dobór — tworzą prawdziwą ucztę dla oka.

Bluzy skromniejsze wykończą się często kołnierzykiem, mankietami, a nawet kamizelką (plastronem) z białej organdy lub „crêpe de soie” układanej w drobne fałdki i wykończanej pliseczkami z kolorowej wstążeczki, lub barwnymi pikotkami.

Bardzo używane są wstawki, z koronki, lub tego samego co bluza materiału, szytego w drobne gęste zakładeczki, jak również i wszelkiego rodzaju przybrania ze wstążek i wstążeczek, naszywanych, lub układanych w kapryśne riuśki.

Niemniej modnym przybraniem są wszelkie guziki. Guziki ze szkła, z porcelany, z niklu, lub innego metalu, fantazyjnie barwione, lub rzeźbione, a nawet zwyczajne płaskie guziki z perłowej masy, których całe szeregi, urągając nieraz zdrowemu sensowi zdobią leciutkie, letnie bluzki.

„Casaques” o charakterze sportowym ozdabia barwny krawat, zrecznie związany z rypsowej, grubo prążkowanej wstążki, lub z deseniowego fularu.

M.



RUBIN I CYKLOMENY

— Czy pije pan Chianti?

— Zawsze z przyjemnością, dzisiaj z rozkoszą.

— Zkąd ten wyjątek na rzecz dnia dzisiejszego?

— Z kilku przyczyn. Pierwsza, najważniejsza dla mnie, to nadzieja, że pani mi to wino własną rączką do szklanki naleje, druga — to sentymentalne wspomnienie, że takie samo pękate i opłatane łykiem „demi-fiasco” tego szlachetnego napoju stawiano jako porcję obiadową przed każdym nakryciem tam, nad Lago Maggiore, gdzie miałem zaszczyt i szczęście pierwszy raz panią ujrzeć. Trzecia, niestety, może najżywiej panią obchodząca, to okoliczność, która mi ułatwi odpowiedź na zadane mi przed chwilą pytanie: jakie kolory sę obecnie najbardziej noszone w Paryżu?

— Ciekawam, jak się pan z tego zadania wywiąże.

— W sposób bardzo prosty, miła pani. Proszę podnieść tę szklankę z winem i spojrzeć na nią pod światło. Widzi pani ten przyćmiony płomień rubinowy, pełgający tajemniczo w rżniętym kryształcie? Niech się pani nauczy na pamięć wszystkich odcieni tego wina, które w każdym mieście włoskiem ma odmienną barwę i smak swoisty. To jest właśnie smak... przepraszam, kolor tej sukni, którą pani będzie w bieżącym sezonie nosiła.

— To bardzo zajmujące. Ale przecież trudno, abym idąc do sklepu po materiał zabierała ze sobą butelkę Chianti, jako próbkę, Pan sam rozumie...

— A zatem proszę mi podać rączkę. Nie, nie tą, tamtą z pierścionkiem. Tu wokół serdecznego paluszka okręca się złoty wąż z rubinową główką. Ktoś życzliwy, może drogi, dał go pani, jako amulet, chciał ustrzec od złego oka i przynieść szczęście. Dla mnie on dziś posłuży za drogowskaz po krainie mody. Ten rubin w pierścionku to pani suknia jutrzejsza. I jeszcze jedno przypomnienie. Pamięta pani ten wspaniały krzak róży, z którego zrywaliśmy razem wielkie, aksamitne kwiaty...

— Róża ponsowa? ach! jakież to kolor banalny!

— Niech pani chwilkę poczeka. To nie koniec jeszcze. Przez nieostrość wbiła pani sobie jeden kolec w paluszek. Wytrysła kropelka karminowa, ale zanim zdążyła spaść na liście zielone, skoczyłem, i wyssałem żywy rubinek razem z fatalnym cierniem.

— Pan jest niepoprawny. Jeszcze teraz rumienię się, gdy sobie przypomnę...

— Wówczas pani pobladła. Niech się pani nie gniewa, choć ślicznie pani z tym rumieńcem i błyskawicami w oczach. Przebaczyła mi pani tak prędko. Raczyła pani zrozumieć, że to był silniejszy nade mnie poryw czystej miłości... bliźniego, Od urodzenia byłem altruistą. I teraz niech się pani rozchmurzy. Wstawia się za mną królowa marzeń kobiecych — moda. Ona powiada, że ta kropelka karminowa, którą widziałem przez jedno mgnienie oka, a której smak dotąd czuję na wargach — to jest smak... chciałem powiedzieć — kolor sukni, którą pani włoży na wieczór... naszego pożegnania.

— Jakto pożegnania? Zaledwie pan wrócił, już pan chce wyjeżdżać?

— Niestety, muszę. Tym razem będą to szczyty alpejskie. Ostatni kwiat, który na nich zobaczę, to będzie fiołek alpejski, młodszy i cudownie wonny braciszek tego cyklamenu, który tak wspaniale rozkwita w pani żardinierce. Patrząc na niego, będę myślał o pani i o... tegorocznej modzie.

— Pan jest złośliwy. Co ma tegoroczna moda do cyklamenu.

— Bardzo wiele. Nie może pani przecież chodzić cały dzień w królewskiej purpurze, chociaż pani jest jej godna. Usłużna moda podsuwa na spokojniejszych kolorów: kwiaty cyklamenu. Te cudne motyle szczytów, grające całą skalą fioleto, od srebrzystego odcieniu lila do ametystu, od ciepłej, niemal morelowej różowości ciała kobiecego do soczystego amarantu. Na najbledszych płatkach cyklamenu, pobielałych od blasku lodowców, będę pisał moje listy do pani, listy niewysłane...

— Pan poeta, pan poeta.

— Ale gdzieś, ale gdzieś...

— A jednak pan tak pięknie mówi o... modzie. Tylko dlaczego pan tak smutno kończy?

— Bo dręczy mnie jedno zapytanie, którego mi pani nie zadała, a które ja sobie stawiam pomimo woli. W jakiej sukni przyjmie mnie pani kiedy powrócę? Czy powita mnie blady cyklamen wspomnienia, czy kropla krwi serdecznej, zaklęta w rubin na główce węża kusiciela?

Spero

MODA NA SCENIE

Jeżeli posiadasz własny jacht, Czytelniczko, spraw sobie taki kostjum, jaki ma pani Cwiklińska w pierwszym akcie „Erosa Wygnanego”,

Na drobnutko karbowanej sukni z koralowej georgetty długi włóczkowy sweater — bluza, kremowa, w wąskie, poprzeczne, koralowe pasy. U dołu i przy rękawach szeroki szlak koralowy i oliwkowy. Na to narzucona długa, czworokątna „cape” z kremowego jedwabiu podbitego koralową georgettą. Na szyi suty szal z koralowej georgetty, i biały, niewielki kapelusik na złotych włosach, — całość prześliczna, jak wiosenny sen eleganckiej kobiety. Strój ten powiemy i wytworny nadaje się do przejażdżek jachtowych, jak również na ranne spacery w Nizy lub Aix les Bains. Niech Cię jednak Bóg chroni i strzeże, Czytelniczko, od wybrania się w podobnej tualecie na przejażdżkę po Wiśle, lub majówkę w „Trou aux canards — les Bains” (wytworzenie nazwany Kaczy Dół), albo innej, równie pięknej miejscowości.

Na użytek krajowy śmiało można polecić kostjum p. Walewskiej, również bardzo elegancki, a nierównie praktyczniejszy. Długi żakiet z białego rypsu, obcisły, angielski, mocno skloszowany w dole, zapięty na dwa złote guziki, zakrywa zupełnie suknię. Suknia pod nim również biała rypsowa, wąska i bez rękawów, zapięta z przodu na szereg drobnych, złotych guziczków. Białe pantofelki i pończoszki, biały kapelusik, szal biały w deseń czarny i pomarańczowy — całość wytworna i łatwo dostępna. Tem bardziej, że w celach oszczędnościowych ryps wełniany da się z powodzeniem zastąpić prążkowanym płótnem, a złote guziki — guzikami z masy perłowej.

Co za szkoda, że minął karnawał! jakie bogactwo pomysłów do kostjumów antycznych w greckiej części „Erosa”. Panna Gorczyńska w morelowej tiunice, lśniącej od drogich kamieni i kremowym himatjonie haftowanym w złote liry, wygląda jak żywa rzeźba. Świetny jest kostjum groteskowej Djany, noszony przez panią Cwiklińską. Długi plisowany biały poplez, na nim himatjon z ametystowego ninon naszywany srebrem i brylantami, a we włosach djadem z różnobarwnych kamieni uwieńczony dużym półksiężcem.

W. Ł.



OBIAD PROSZONY

Nie zawsze ci, co lubią jeść — umieją jeść — a szczególnie dać drugim zjeść dobrze. Stwierdzonym jest fakt, że ludzie znani ze swej wstrzemięźliwości w jedzeniu i piciu, najwykwintniejsze urządzą przyjęcia, najwspanialsze doborom i wykonaniem potraw, wydają obiady. Skala przyjęcia zależna jest w zupełności od środków materialnych przyjmującego — drobiazgową staranność w urządzeniu dowodzi dbałości o zadowolenie gości i szacunku dla nich. Powinniśmy się starać utrzymywać stosunki z ludźmi równej z nami sfery i zbliżonych środków materialnych — aby w dobranym kółku mogła panować swoboda i dobry humor.

Aby uniknąć przykrego zawodu, prosi się gości listownie, lub telefonicznie przynajmniej na tydzień wcześniej, dając im tem samem czas na zawiadomienie, czy przybędą. Bardzo niegrzecznie byłoby ze strony zaproszonych, aby nie uprzedziwszy o niemożności stawienia się — nie przybyli, narażając nas tem samem na zbyteczne koszty i zawód.

Skoro przyjęło się zaproszenie — obowiązany jest przybyć najpóźniej na dziesięć minut przed oznaczoną godziną obiadową — nie ma bowiem nic nieznośniejszego dla gospodyni domu i dla obiadu — jak czekać. Czy to w bogatym, czy tylko zamożnym domu, wszelkie przygotowania do przyjęcia gości, powinny być ukończone przed ich przybyciem, aby pani domu mogła swobodnie im się oddać, nie denerwując się niepokojem o losy swojego obiadu. Skoro wszyscy biesiadnicy zgromadzą się — służący lub służąca otwiera drzwi do jadalni, prosząc państwa do stołu. Panowie podają ramię paniom, wskazanym im przez gospodarza, który stosuje się do wcześniej obmyślonego planu rozmieszczenia gości.

Sympatyczność i udanie zabawy — zależy we wszystkim od taktu i subtelności gospodyni. Osoby starsze wiekiem i stanowiskiem sadza się na początku stołu, którego pierwsze miejsce, za granicą zwłaszcza, zajmuje pani domu. Jest to zwyczaj godny naśladowania, widzi bowiem wszystkich i może zadowolnić ich potrzeby i upodobania.

Moda nieskończenie długich i obfitych obiadów zanika coraz bardziej — obecnie wykwint stanowi jakość, a nie ilość potraw. Po eleganckich zakąskach, podanych do wódki przy bocznym stoliku —

w mniejszych ilościach jak do śniadania drugiego lub kolacji — zaczyna się obiad od zupy, której nalewa się trzy czwarte talerza. Po zjedzeniu zupy zostawia się łyżkę na talerzu. Wystawniejsze obiady nie mogą obejść się bez ryby — o którą obecnie u nas łatwiej, jak dawniej, nie radziłabym tylko podawać tak pospolitych obecnie ryb morskich, nie każdy bowiem znosi ich specjalny zapach. Po rybie idą mięsa, stanowiące niejako podstawę obiadu, następnie pieczone odpowiednio do sezonu, jarzyny, sałaty, kompoty — w końcu kremy, galarety, lody, owoce, słodczyce — według możliwości przyjmujących osób. Kawę czarną, bardzo gorącą podaje się w salonie wraz z likierami na małych stoliczkach, ponakrywanych eleganckimi serwetkami, można też porozstawiać owoce, których bezpośrednio po obiedzie nikt już jeść nie mógł, a z przyjemnością ochłodzi się później, winogronem, dobrą gruszką, lub pomarańczą. Przy kłoskach z owocami, stawia się talerzyki, specjalne nożyki i widelczyki i małe serwetki. Jako napój, podaje się na bardzo eleganckich obiadach, tylko wina różnych gatunków, na skromnym zebraniu można podać piwo. Woda sodowa w syfonach, lub zwyczajna, w lecie zamrożona, w karkach jest niezbędną. Nakrycie stołu im wykwintniejsze, tem nawet skromny obiad, lepiej smakuje. Podstawę elegancji stanowi zawsze — czystość bez zarzutu bielezny i naczyń, o ozdobę główną — kwiaty poustawiane w wazonach, koszykach lub żardinierach, a nawet poukładane w deseń na obrusie. Usługa powinna być cicha, zręczna, uważna na każdą potrzebę gościa, zmienianie talerzy, noży i widelcy po każdym daniu, powinno iść prędko, dlatego, trzeba mieć przygotowane na bocznym stole nakrytym białą serwetą, wszystko co w czasie obiadu może być potrzebne; po ostatnim daniu, przed deserem, służba powinna sprzątać ze stołu wszelkie zbyteczne przedmioty, pozostawiając tylko słodczyce, owoce, i kwiaty. Pan i pani domu, nigdy nie powinni chwalać win i potraw podawanych, ani mówić, co kosztują, jak również przepraszać, o ile coś nie jest tak udane i podane, jak być powinno. Smiesznem bowiem jest, ganiąc, wyczekiwać zaprzeczenia i często narażać ludzi na nieszczerść. Do gości znów należy, nie zwracać uwagi na niedokładności w usłudze lub braki w przyrządzeniu potraw. Za chowywać się trzeba tak, aby wszelkie niepowodzenia przeszły

tak jakby niezauważone. Dużo światła i powietrza w jadalni, bezwzględnie dodaje uczcie świetności, a gościom apetytu, to też pokój, musi być dobrze wywietrzony i wychłodzony w lecie — w zimie, nie bardzo ogrzany, wskutek bowiem licznie zgromadzonych osób i gorąca potraw, robi się zwykle za gorąco, pod koniec obiadu. Wina o ile niema dostatecznej i wyrobionej służby, rozlewa zwykle sam gospodarz, albo któryś z młodszych członków rodziny. Po otwarciu butelki, pierwszych kilka kropel nalewa się do swego kieliszka — następnie — gościom. Mięsa w miarę spożywania, kraje się na małe kawałki, nakładając na nie nożem, sos lub jarzynę, pod żadnym pozorem, nie je się nożem, używając go tylko do krajania. Ryby, o ile nie ma się do nich specjalnych, wymyślonych w Anglii noży i widelcy, je się tylko widelcem, pomagając sobie skórą od chleba. Kłopotliwem nad wyraz jedzeniem są karczochy i szparagi. Do tych ostatnich na szczęście wchodzi w zwyczaj szczypczyki, którymi chwytają się szparag, a podtrzymując go widelcem, wkłada do ust. Jeżeli niema szczypczyków, trzeba odkroić co jest miękkiego w szparagu i zjeść widelcem. Jeszcze bardziej, ambarasowne są karczochy, to też nie podaje ich się na większych zebraniach inaczej, jak oberwane z listków, których się pozostawia tylko jeden rząd, aby napełnić karczoch zielonym groszkiem, pozostawiając z niego tylko spód do spożycia. Sałatę, zaprawia się pokrajaną, aby z łatwością widelcem zanieść ją do ust można, nie powinno się bowiem nigdy krajać sałaty na talerzu. Nie kraje się także chleba nożem na obrusie, jak to nieraz daje się widzieć, ale łamie go się na małe kawałki. Nie obiera się soczystych owoców, trzymając je w palcach, ale załatwia się tę czynność specjalnym nożykiem i widelczykiem, którym przytrzymuje się owoc na talerzyku, tak, aby się palce nie powalały, a tem samem serwetki nie poswędryły. Serwet nie rozkłada się zupełnie, kładzie się je na kolanach, a po skończonym obiedzie, zostawia przy swoim talerzu, nie składając z powrotem. Nie używa się nigdy serwet przy stole do przecierania nakrycia, wystrzegać się należy tego brzydkiego przyzwyczajenia, obraża się niem bowiem panią domu. Uważać także trzeba, aby nie sięgać przez sąsiadów, po potrzebne nam przedmioty, jeśli stoją daleko, trzeba dać znak służbie, a w ostateczności poprosić o podanie sąsiada. Uważać trzeba, aby zajawszy się rozmową z inte-

resującą sąsiadką, lub sąsiadem, nie obracać się niegrzecznie plecami do sąsiedztwa z przeciwnej strony. Siedzi się przy stole prosto, tylko głową zwracając się w tę, lub tamtą stronę. Jeżeli mamy mało zajmującego sąsiada, nie okazujmy mu, że nas nudzi.

Nie należy także, siedząc przy stole, obcierać hałaśliwie nosa, kichać, kasłać i kłuć w zębach, bez obowiązкового zasłonięcia ust chusteczką.

W razie kataru, lepiej pozostać w domu, niż narazić zebranych na przykrość udzielenia im tej niemiłej dolegliwości. Podczas obiadu, pan domu, lub ktoś ze starszych mężczyzn wznoszą toast, młodszy, jeśli chcą to uczynić, prosić winni o upoważnienie gospodarza. Jest to jedyna okazja, w której wolno wypić kieliszek do dna, inaczej pije się po trochu, małymi łykami. Po skończonym obiedzie pani domu pierwsza wstaje i daje znak powrotu do salonu, gdzie na gości oczekuje gorąca kawa i likiery. Po wypiciu jej, porozmawiawszy z godzinkę, dziękuje się gospodarstwu za miłe przyjęcie i opuszcza ich gościnne progi, o ile to przyjęcie miało miejsce w mieście. Na wsi, gdzie zwykle zjeżdżają się goście z dalszych stron — dłużej siedzą, pragnąc wykorzystać trud przyjazdu, a zwłaszcza powrotu. Żadne prawie zgromadzenie nie obejdzie się bez partyki bridge'a, który im się wcześniej zacznie — tem się później kończy — trudno, zatem oznaczyć porę powrotu do domu. J. S.

MAJ W OGRODZIE

Czytelniczkom naszym, zamieszkałym na wsi, lub posiadającym własny ogródek, postaramy się przypomnieć na początku każdego miesiąca, co w tym okresie w ogrodzie zrobić należy.

Maj to bardzo pracowity miesiąc w ogrodzie. Nawet przy późnej wiosnie wszystko bezmała i dla urody i dla pożytku powinno być zrobione w tym miesiącu.

Zaczynam od kwiatów. Więc przede wszystkim należy przygotować ziemię pod klomby dywanowe, gdyż ziemia powinna być żyzna, czysta i zmieszana z piaskiem — w drugiej połowie maja wysadza się rośliny przeznaczane na klomby dywanowe i w tej samej porze (około 20 maja) wysadza się na rabaty i klomby wszelkie fance jak lewkonje, astry, balsaminy i t.d., Pelargonje, begonje bulwiaste też powinny być wysadzone na klomby

i do skrzynek balkonowych. Kłocze georginji, już w kwietniu oczyszczone, porozdzielane i przetrzymane w pulchnej ziemi, wysadza się w maju w grunt.

Cebulki hjacyntów, tacetów i tulipanów, które w zimie kwitły w doniczkach, należy wyjąć z ziemi i położyć w suchym i przewiewnym miejscu, aby wolno wyschły.

Tuberozy trzeba wyjąć z doniczek i posadzić na grządce w ciepłym, zacisznym miejscu. Jeżeli zaczną puszczać boczne pędy, należy je odłamywać i osobno rozsadzać — w ten sposób przynagla się tuberozę do przedszego wypuszczenia łodygi kwiatowej.

W szkółkach, świeżo szczepione drzewka trzeba starannie oczyszczać z wszelkich bocznych pędów, a w końcu maja można już zacząć szczepienie róż — zwłaszcza na silniejszych zeszłorocznych pędach.

Kwiaty trzymane przez zimę w oranżerii lub mieszkaniu, można pod koniec maja wynieść na dwór, wybierając dzień niezbyt gorący, pochmurny i bez wiatru.

Jeśli która roślina wybujała przez zimę, trzeba ją powoli przyzwyczajać do powietrza i słońca.

Tyle o pięknej stronie ogrodu, a teraz przejdźmy do praktycznej.

Zaraz po 8 maja sadi się ogórki na grządkach, wsadzając co parę cali po dwa, lub trzy ziarna.

Z ogórków sadzonych w inspektach można zdejmować okna, chroniąc je jednak od silnych wiatrów, które młodym liściom bardzo szkodzą.

Kalafjory i kalarepkę można śmiało odsłonić. Około połowy maja sadi się wszelkie fasole i kukurydzę, gdyż są one bardzo wrażliwe na zimno. W tej samej porze wysadza się dynie i melony. W końcu maja flancuje się wczesną, t. zw. „majową“ kapustę.

Maj, to miesiąc zbioru szparagów. — W młodej, rocznej szparagarni, cięcie nie powinno trwać dłużej jak dwa tygodnie, aby nie osłabiać zbyt roślin. — W trzecim roku szparagarnia może być śmiało używana od chwili ukazania się szparagów, aż do św. Jana, zawsze jednak trzeba uważać bardzo, aby nie pokaleczyć karp przy wycinaniu szparagów. Najlepiej jest, gdy się szparag pokaże, ostrożnie odgarnąć ręką ziemię prawie do korzenia i ostrym nożem uciąć szparag na cal nad karpą. R-ska

KTO WINOWAJCA?

Publiczność narzeka na ogólną drożyznę, a w szczególności na drożyznę towarów krajowych, przemysłowcy i kupcy na drożyznę rąk roboczych i małą wydajność pracy powojennego robotnika, robotnik narzeka na rzekomo niskie zarobki, nie zaspakajające wciąż rosnących potrzeb jego i wymagań i tak w koło.

Prawdziwie zaczarowane koło z którego wyjścia nie widać, gdyż interesy każdej z tych grup są zupełnie różne. W rezultacie zaś kupujemy wszyscy tańsze — i niestety — lepsze, towary zagraniczne i z takim wysiłkiem całego kraju i społeczeństwa zdobyte „dobre“ złote uciekają w szalonym tempie zagranicę i grożą nam znowu ruina.

Nad tem strasznym widmem, powinniśmy się zastanowić przede wszystkim, my, kobiety, panie domu, matki rodzin, przez których ręce przechodzi większość pieniędzy, zarobionych przez mężów i wszystkie pieniądze, zarobione przez nas same.

Nie można od nas wymagać rzeczy nadzwyczajnych, jakichś czynów bohaterstwa, w rodzaju nie noszenia wcale jedwabnych sukien, kiedy moda tylko jedwab uznaje, nie używania w kuchni żadnych zagranicznych owoców i przypraw, kiedy u nas nietylko figi, rodzenki, daktyle i pomarańcze, lecz nawet konieczne cytryny, a nawet prosty pieprz nie rosną.

Natomiast możemy systematycznie i planowo zaprowadzić pewne zmiany, pozwalające zmniejszyć i w ubraniu i w kuchni ilość zagranicznych towarów, każda w miarę możliwości i w granicach większego lub mniejszego budżetu: Jeżeli elegancka, kupująca kilkanaście tualet w ciągu roku wyrzuci się jednej lub dwóch z nich, jeżeli skromna pracownica zamiast zagranicznej etaminy czy markizety ubierze się na lato w łódzki batyścik czy satynę, jeżeli gospodyni domu trochę sobie fatygi zada, aby leguminy były robione z większą ilością cukru, nabiału i krajowych konserw, zamiast pomarańczy, cytryn, fig, daktyli i innych smacznych i tanich, ale w rezultacie rujnujących nas przysmaków, (Francuzi wszakże mówią „c'est le bon marché qui ruine“), jeżeli ciągle będziemy żyły z myślą, że temi drobnymi oszczędnościami przyczyniamy się do ratowania Ojczyzny naszej od nieuniknionej przy obecnym postępowaniu katastrofy — możemy dokonać nadzwyczaj-


czajnych rzeczy. Nie wiem, czy moje cyfry będą prawdziwe, sądzą jednak, że na trzydzieści dwa miliony mieszkańców państwa polskiego, musi być około miliona inteligentnych, lub uważających siebie za inteligentne kobiet. Otóż jeżeli każda z nich, takimi drobnymi kombinacyjkami gospodarczymi, wyda tylko o pięćdziesiąt złotych rocznie mniej na towary zagraniczne, to będzie reprezentowało sumę pięćdziesięciu milionów złotych, połowę kapitału zakładowego Banku Polskiego, — jeżeli potrafimy tę sumę doprowadzić do 100 złotych rocznie, bilans nasz przestanie być biernym i nasze „dobre” złote przestaną uciekać zagranicę.

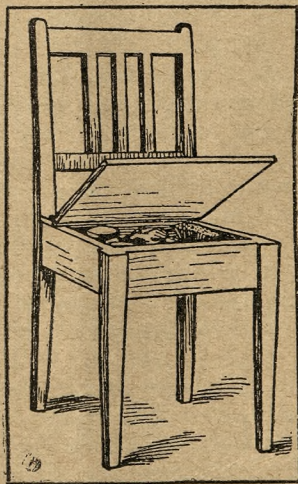
Zwracam się z tym apelem do kobiet z inteligencji, które same tak postępując powinny być przykładem tym mniej inteligentnym i nie rozumiejącym dostatecznie tej sprawy. Jeszcze jedno — wiem, że mi zarzucają, że towary nasze są droższe i mniej dobre od zagranicznych, że więc żadne nawoływania do ich kupowania nie pomogą. Odpowiedzi na to innej nie znajduję, jak tylko, że towary te muszą stać się lepsze, o ile nasze fabryki nie chcą zginąć śmiercią samobójczą. Musimy się nauczyć nowych, lepszych metod produkowania, a nowe, młode, dorastające pokolenie, już korzystające z dobrodziejstw powszechnego nauczania, da kontyngent lepszych, inteligentniejszych robotników, rozumiejących, iż musimy równie tanio i równie dobrze jak zagranica produkować — jeżeli nie chcemy zginąć.

Słyszałam kiedyś, w Petersburgu, że kiedy rosyjskie stalownie nie mogły konkurować ze szwedzkimi, bo nie posiadały sekretów tych ostatnich, pewien inżynier, Polak, przebrany za prostego robotnika, wyjechał do takiej szwedzkiej fabryki, jako wybitnie zdolny robotnik, został dopuszczony do najskrytszych tajemnic fabrykacji, wrócił i nowe metody zastosował w Rosji, ocalając tem cały przemysł stalowy. Czy zupełnie tak było jak opowiadano, nie wiem — ale myśl sama była wspaniała, a ponieważ mi zawsze chodzi o przemysł i pracę, dostępne dla kobiet, chciałabym pomysł ten zastosować do — suszonych owoców. Używamy wszyscy w ogromnych ilościach, doskonale owoce suszone kalifornijskie, brzoskwinie, morele, olbrzymie gruszki, bieluchne jabłka i okazałe śliwki. Nie można się dziwić, że susz krajowy ciemny, przydymiony i cierpki, nie ma wielkiego odbytu. Brzoskwiń

tak wspaniałych w kraju nie mamy, natomiast gruszki, śliwki, jabłka, a na południu kraju i morele mogłyby konkurować z najlepszymi zagranicznymi — gdyby je umieć zakonserwować. Ze nie tylko Kalifornia takie owoce produkować może, dowód tego mamy, gdyż przed wojną Rosja cała, a z nią i Polska były zasypane suszonymi owocami i konserwami owocowymi z Krymu i Kaukazu, wybornymi i tak tanimi, że funtowa bańka brzoskwiń wybornych kosztowała dwadzieścia pięć kopiejek — t. j. jakieś sześćdziesiąt groszy obecnych, kiedy teraz taka bańka krajowych śliwek około czterech złotych kosztuje. Żeby tak parę lub kilka przedsiębiorczych pań zrobiło wyprawę do Ameryki, nauczyłoby się tam nie teoretycznie, lecz praktycznie fabrykacji suszu i konserw i tajemnice te zechciałyby na razie same eksploatować, a potem dzieliły się niemi z chętnymi uczennicami, mam nadzieję, że tajemnice te by się stały dla nich prawdziwie „złotem runem” i przyczyniły do zaoszczędzenia poważnych sum, płynących obecnie za te artykuły do bogatej Ameryki,

Pani Elżbieta.

KUCHENNE KRZESEŁKO



Jeśli ktoś lubi porządek, musi dbać o to, aby każda rzecz miała przeznaczone dla siebie miejsce, co przy ciasnocie dzisiejszych mieszkań, trudne jest nieraz do osiągnięcia. Załączony rysunek wskazuje, jak wykorzystać krzeselko kuchenne, aby jednocześnie służyć mogło za pudełko na przybory do czyszczenia obuwia. Zrobić to bardzo łatwo. Należy podbić w zwykłym kuchennym krześle od

spodu deseczkę, jako dno, a wierzchni blacik uruchomić, mocując go na zawiasach, w ten sposób otrzymamy skrzyneczkę, w której się pomieszczą szczotki, pomadki i ściereczki do czyszczenia obuwia.

OBIADY NA MASZYNCIE

(na trzy osoby)

Zupa neapolitańska,
Potrawka z cielęciny z ryżem.
Sałata z pomarańcz.

Sałatę z pomarańcz można zrobić z rana, — dwie duże lub trzy mniejsze pomarańcze pokrajać w poprzek w cienkie plastry, wyjmując pestki, ułożyć na salaterce, przysypać obficie cukrem, wziąć kawałek skórki, starannie zdjąć z niego części białe, a samą żółtą skórkę pokrajać drobno w paski i osypać tem pomarańcze z cukrem. W ciągu dnia parę razy zamieszać łyżką, aby cukier równomiernie się rozpuścił.

Trzy ćwierci kilo cielęciny od mostku lub górkę nastawić w rondlu z dwoma litrami wody, oczyszczoną dużą marchwią i małą pietruszką. Gdy się ugotuje, starannie zszumować, osolić i gotować na wolnym ogniu, (t. j. knoty poprzykręcać) aż cielęcina zmięknie, (około trzech kwadransów,) osolić do smaku i wstawić w gniazdo. Zagotować trzy szklanki wody, wsypać na to trzy ćwierci szklanki dobrego ryżu, włożyć łyżeczkę herbatnią masła i gotować często mieszając, aby do dna nie przyszło, aż ryż zmięknie, — ryż na chwilę odstawić, przykryć rondel pokrywą, — tymczasem zasmażyć na biało (to jest nie rumieniąc) łyżkę maki w łyżce masła, rozprowadzić szklanką rosółu, wsypać łyżkę pietruszki zielonej siekanej, lub tyleż zielonego koperku, świeżego czy suszonego, włożyć w sos dobrą łyżkę śmietany i na zakończenie jeszcze łyżeczkę herbatnią najlepszego masła, zagotować raz tylko, cielęcinę pokrajać na zgrabne kawałki, ułożyć na ryżu, poleać sosem i wstawić w gniazdo. (Kto woli, może mięsa sosem nie polewać, a sos trzymać w rondelku i podać go oddzielnie, w sos-jerce). Rosół postawić powtórnie na maszynce, wrzucić weń dzieśnię deka makaronu włoskiego, krótko połamanego, lub od razu fabrykowanego w kształcie muszelek, gwiazdek itp. gotować aż makaron zacznie mięknąć. Nie po-

winien być przegotowany, gdyż staje się klejowaty i smak traci. Dwa żółtka rozbić z odrobiną zimnej wody, potem szklanką rosołu i wlać w rosół, zagrzzać razem lecz nie gotować, bo by się zwarzyły.

Do zupy tej podać 5 deka ostrego sera utartego na tarce, posypuje się nim zupę nalaną na talerzu.

Gdy tylko zupa zaprawiona, zaraz podawać, stać z żółtkami długo nie powinna.

Barszczyk czysty z kartoflami.

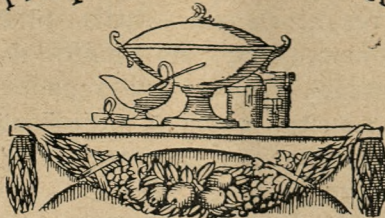
Baranina duszona z cebulą.

Kompot z fig.

Piętnaście do dwudziestu zwykłych fig, — sprzedawanych na wianki obmyć w zimnej wodzie i nastawić z trzema szklankami wody, i pół szklanką cukru. Gotować na wolnym ogniu aż figi wybrzekną i zmiękną, poczem wylać na salatkę i zastudzić. Najlepiej to zrobić zrana, aby kompot miał czas dobrze wystygnać. Trzy spore bardzo ciemne buraki obrać z łupin, pokrajać w plastry, zalać półtora litrem wody, włożyć oczyszczoną i przekrajaną na połowę marchew, kawałek pietruszki, grzybek suszony, listek i parę ziarn pieprzu. Gotować aż buraki zbledną i cały smak się z nich wygotuje. Przetrzymać barszcz w gnieździe, aby nie ostygł. Ugotować w wodzie osolonej, sześć średnich kartofli, pokrajanych na połówki, barszcz przeceścić, jarzyny odrzucić, zaprawić łyżką octu lub kawałkiem kwasu, co mu wróci czerwony kolor utracony przez gotowanie. Włożyć weń kartofle, zasmażyć kawałtka (2 deka) słoniny, okrasić tem barszcz i wstawić napowrót w gniazdo. Trzy ćwierci kilo baraniny od forszlaka z nareczką, pokrajać na duże, zgrabne kawałki, obrumienić w maśle, dodać listek, parę ziarn pieprzu, parę łyżek wody, osolić i dusić na wolnym ogniu pod przykrywą, często poruszając aby do dna nie przystało i podlewając nieco wody. Trzy bardzo duże cebule, najlepiej hiszpańskie, każda wagi — nie mniej 10 deka, obrać z łupin i włożyć do baraniny, przy dalszem duszeniu obracać je kilkakrotnie, aby ze wszystkich stron się wraz z baraniną zrumieniły. Gdy cebule zmiękną a baranina znacznie zupełnie odstawać od kości, wsypać herbatnią łyżeczkę maki i dodać szklankę wody z rozpuszczoną w niej kostką „Maggi”. Zagotować raz tylko, rondel przykryć pokrywą, ogień zgasić i podawać natychmiast zupę aby baranina nie wystygła.

Pani Elżbieta.

Przepisy gospodarskie



BIGOS MYŚLIWSKI.

Kapusta kwaszona wiosną, ma już zwykle smak zbyt ostry — no i zapach niezbyt miły. To też należy ją przedewszystkiem parę razy wypłukać zimną wodą, wodę tę zlać, wrzucić kapustę na wrzącą wodę, zblanżerować to jest zagotować raz, zlać na sito i ostudzić. Kapusta straci przez to dużą część swego kwasu, który jednak łatwo zastąpić można, nie uciekając się nawet do szkodliwego octu, — za pomocą soli cytrynowej, lub konserwy pomidorowej dodanej w większej ilości. Tak spreparowaną kapustę włożyć w rondel dodając do niej wszelkie kości od pieczystego, jakie się okażą w domu, porąbane na grube kawały, skórki od pieczonego mięsa i od wędlin, sosy i galarety jakie się poformowały na brytfannach przy pieczeniu mięsa, zalać taką ilością rosołu, lub w braku jego, wody, aby objęło, włożyć parę obranych z łupin i przekrajanych na połowę cebul, listek, kilkanaście ziarn pieprzu i ziele, kółko suchej, litewskiej, wędzonej kiełbasy, postawić na wolnym ogniu i dusić, często mieszając od dna, aby do rondla nie przywarło, około trzech godzin przynajmniej.

Czem dłużej i wolniej się bigos dusi, tem jest smaczniejszy. Gdy kapusta zupełnie zmięknie, wszystkie kości odrzucić, skórki i kawałki mięsa pokrajać w drobną kostkę, kiełbasę w cienkie plasterki, dodać krajane w kostkę wszelkie kawałki mięsa i zwierzyny, jakie się znajdą w domu i dobry talerz słoninki od gotowanej szynki drobno pokrajanej, lecz nie smażonej. Na duży garnek (pięciolitrowy na przykład) bigosu zrumienić, pół funta cukru, na bład karmel i wlać do bigosu, dodać z pięć łyżek dobrej pomidorowej konserwy i jeżeli można i jest wlać butelkę aromatycznego węgierskiego łagodnego wina, (może być krajowe, owocowe, byle aromatyczne), Zaprawić paru łyżkami maki rozbitej rosołem lub wodą, zagotować raz jeszcze i podawać. Chcąc bigos ten przechować wiosną dni kilka, nie należy go zaprawiać całego mąką, lecz tylko częściowo, przed samem podaniem.

Trzymać w kamiennem naczyniu. Kilka razy odgrzewany jest naj-

smaczniejszy. Kto lubi bigos słodszy, może dodać parę łyżek cukru, lub kilka jabłek winkowatych pokrajanych w talarki.

BULWA WŁOSKA.

Ta u nas niedoceniana i rzadko używana jarzyna, najsmaczniejsza, jest wczesną wiosną, i umiejętnie przyrządzona, może doskonale w skromnych gospodarstwach, zastąpić zbyt drogie kalafjory.

Niestety jest ona też w stosunku do łatwości jej produkowania zbyt droga, — powinna być ona w jednej cenie z kartoflami, marchwią lub burakami, a jest od nich dziesięć do trzynastu razy droższą, przy tej cenie jednak można jeszcze i należy ją wprowadzić do zwykłych, codziennych jadłospisów, chociażby dlatego, żeby odpocząć od kartofli, buraczków, marchewki i kapusty, poza które fantazja i pomysłowość pań średnio zamożnych i ich kucharek wyfrunąć nie może.

Bulwy należy namoczyć na godzin parę, — (jeśli są nieco przywiedle na znacznie dłużej), gdy w dotknięciu będą twarde i jędrne oskrobać (nie obierać!) ostrym nożem i wrzucić natychmiast do zimnej wody, aby nie zczerniały. Zagotować wodę, wlać w nią parę łyżek octu, osolić, do wrzącej włożyć bulwy gotować aż zmiękną, wyjąć durszlakową łyżką na półmisek i polać masłem zrumienionem z bułeczką, sosem białym zaprawionym żółtkami, sosem holenderskim lub bechamelem. W ostatnim wypadku jednak smaczniej jest bechamel osypać ostrym serem, zmieszany po połowie z bułeczką, położyć na to parę kawałków masła i wstawić dla zrumienienia pod blachę. Oczywiście należy użyć półmiska, lub talerza metalowego, aby nie pękł od gorąca. Wyborne są też bulwy smażone. Wybrać nieduże, równe bulwy, ugotować jak wyżej, osączyć na druszlaku lub sicie, ostudzić. Każdą utarzać naprzód w mące, potem w rozbitym jajku, na koniec w bułeczce, — starać się aby warstwa bułeczki była możliwie jaknajgrubsza.

Rozpalić w rondlu szmalec lub fryturę wołową, jak na pączki, wrzucać na to bulwy i smażyć do mocnego zrumienienia, osączyć na sicie lub na bibule i gorące podawać do stołu, — do tego cytryna pokrajana w podłużne ćwiartki. Zamiast jaj i bułeczki można bulwy smażyć w klarze, czyli cieście zrobionem z paru żółtek rozartych z mąką, łyżką dobrej oliwy i tyle wody, aby było gęstsze ciasto niż naleśniki, na koniec dodaje się sztywną pianę z białek i w tem obficie macza bulwę przed smażeniem.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Rodzenki przed przebraniem wytrzeć mocno mąką, stracą nieprzyjemną lepkość i odpadną korzonki. Po dokładnem przebraniu umyć w paru wodach.

* * *

Chcąc aby chrzan nie dusił przy tarcu — trzeć go w otwartem oknie, lub nad otwartą fajerką. — Po utarciu natychmiast lekko posolić, i wymieszać równo, a nigdy nie szernieje.

Korespondencje działu praktycznego

„Bluszczownie“

Wobec nie załączenia przez panią adresu — odpowiedź umieszczamy w „Bluszczu“.

Po powrocie z kościoła częstuje się gości herbatą z różnemi ciastami. W parę godzin później podaje się zakąski zimne i gorące: różne konserwy, majonezy — galantyny, pasztety itd., do tego kilka gatunków wódek i piwa. Do przekąsek nie zasiada się. Każdy bierze, na co ma ochotę, na telerzyki rozstawione kupkami między potrawami po całym stole.

Po sprzątnięciu stołu po przekąskach podaje się kolację złożoną z dwóch, lub trzech potraw i leguminy (dwie w zupełności wystarczą) podaje się ryby, polędwicę z garniturem, comber sarni, szynkę na gorąco itd. na pierwsze danie, na drugie pieczeń, drób lub zwierzynę z kompotami i sałatami, jeżeli jest trzecia potrawa, to podaje się jarzyny. Na deser: kremy, galarety etc. Jako napój podaje się wina różne, któremi wnosi się zdrowie Państwa Młodych, zajmujących środek stołu.

Zależnie od zabawy w dwie lub więcej godzin później pan młody przyjmuje gości cukrową kolacją. Według możliwości jego składa się ona: z tortów, cukierków, owoców, lodów, wina szampańskiego lub kruszonu z pomarańczami, czarnej kawy, — likieru. — Wina i cukrowe przyjęcie należą o pana młodego, reszta przyjęcia do panny młodej.

Pani H. R. z Polesia.

Eponge bawełniany, pierze się w rozgotowanym mydle przestudzonym, żeby się materiał nie skurczył. Dobrze wytrzeć z wody i suszyć kostium na wieszadkach na słońcu, prasować wilgotny jeszcze po lewej stronie, zawsze z dołu do góry ciągnąc żelazko, aby nie powyciągać materiału w różne strony. Kapelusze o ile ma być czyszczony nie pruty — prać benzyną — o ile zdejmie się z niego materję — uprać ją zwyczajnie w letniej wodzie z mydłem barskiem nie wyżywać, tylko roztrzeć a jak przeschnie prasować przez płótno. Dla przybrania kapelusza przypiąć kokardę w formie motyla na czubku główki z dowolnego koloru wstążki — może być najmodniejszy obecnie „cyclamen“, w rozmaitych odcieniach — bardzo modne są także wszelkie kwiaty, które przypiąć można płasko z samego przodu lub pękami z dwóch boków.

Pani M. G. w Ozorkowie.

Nikiel czyści się kredą, rozrobioną z amoniakiem na gęstą papkę, posmarować nią przedmiot przeznaczony do oczyszczenia poczekać aż wyschnie — następnie wycierać miękką flanelą, lub ścierką aż do glansu — Uważać przy wycieraniu aby ściereczka była miękka, bo jeżeli przedmiot jest tylko poniklowany łatwo go zetrzeć.

P. F. J.

Bluzek wpuszczonych pod pasek zupełnie się teraz nie nosi. Modne są dłuższe, lub krótsze, ale sięgające co najmniej do bioder.

Bluzki angielskie i sportowe robią z długimi rękawami, wszystkimi w mankiecik, a bluzka jest ujęta na linji bioder w szeroki pas.



Bluzki strojne są noszone z krótkimi rękawami i długie nieraz do kolan. Paski szersze i wyższe są używane do tych długich bluzek.

Modne perły, o które Pani pyta nie są prawdziwe. — Te, które noszą w Paryżu, dochodzą do wielkości wiśni (każdy paciorek). Są to poprostu ładne, szklane paciorki matowe, w różnych pastelowych barwach. Sznurek takich paciorków obciska szyję, prawie nic się nie zwieszając. Modne są także fantazyjne paciorki różnej wielkości, nawleczone na długi sznur i zakończone chwastem. Dobranie koloru, w którym będzie Pani do twarzy, jest więcej zależne od Pani cery, niż od koloru włosów.

Nieraz blondynkom jest ślicznie w żółtym, który ogólnie jest uważany za kolor brunetek. Sądząc z załączonego przez Panią opisu Jej powierzchowności myślę, że, tak bardzo modny kolor „cyclamen“ będzie dla Pani zupełnie odpowiedni. — Trzeba jednak wybierać tony łagodniejsze, bardziej różowe.

P. J. G. z Radomia.

Wszelkie wódki słodkie i likiery dobiera się cukrem i wodą, przed dolaniem spirytusu do zaprawy, lub nalaniem go na skórki pomarańczowe, jak Pani o to pyta. Spirytus dobierany po zlanu ze skórek zbieleje, jakby był jajkiem zaprawny — sklaruje się wprawdzie z czasem, ale długo będzie nie do użytku. Wyczerpujące wiadomości w kwestji wódek zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Bluszczu“.

* * *

Redakcja „Bluszczu“ odpowiada stałym Czytelnikom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t.d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno, a wobec wielkiego napływu listów, nie zawsze mogą być umieszczane w najbliższym numerze „Bluszczu“.

DOKĄD JECHAĆ NA LATO?

„Cudze chwalicie, swego nie znacie,
Sami nie wiecie, co posiadacie...”

Wiemy doskonale, iż w wyborze letniska, czy uzdrowiska, decydujący głos mają nasze panie. To też każda mądra i czująca kobieta powinna umiejętnie tę swoją przewagę wyzyskać. Rozstrzygać tu powinny trzy zasadnicze względy: zdrowie, kieszeń i przyjemności. Po cóż wyjeżdżać do zagranicznych badów, których okrzyczana taniość jest złudzeniem, bowiem podróz, paszporty, nieodpłatne sprawunki i t. p. wyniosą zawsze znacznie drożej, niż pobyt w kraju, a gdy jedzie parę osób, to już kalkulacja nie wytrzymuje porównania? Po co, gdy u nas w kraju mamy wszystko, co nam potrzeba, za cenę o połowę mniejszą?

Zaledwie o kilka godzin drogi od Warszawy jest urocza miejscowość ZDROJOWISKO DRUSKIE-
NIKI, RADJOCZYNNY WODY MI-
NERALNE I STACJA KLIMA-
TYCZNA.

Położone nad brzegiem Niemna i Rotniczanki wśród lasów sosnowych i jezior, słyną oddawna swymi solankami z działaniem emancji radu. Nadto zdrojowisko posiada kąpiele borowinowe, kwasowęgłowe, hydropatię, elektroterapię i lampę kwarcową, kąpiele rzeczne w Niemnie, kaskadowe w Rotniczance, słoneczno-powietrzne w lesie sosnowym.

A więc, każdy znajduje lekarstwo na swe dolegliwości: reumatyzm, artretyzm, stany przewlekłe po sprawach zapalnych: skóry, gruczołów chłonnych, kości, stawów, na choroby kobiece, choroby żółtąka. Zła przemiana materji, szczególnie otyłość, choroby nerwowe, niedokrwistość, wycieńczenie i choroby serca znajdują tu lek skuteczny. Poza tym Druskienniki są wyjątkowo odpowiednim miejscem dla ozdrowieńców, dla dzieci słabych, niedorozwiniętych.

W Zdrojowisku stale ordynuje lekarz dr. Miłosz Grodecki i dwaj zastępcy, z nich dr. Eugenja Lewicka (fizykoterapeutyczka), oraz kilkunastu profesorów i lekarzy specjalistów.

Zakład kąpielowy ma 149 kabin wzorowo urządzonych, centralne ogrzewanie; jest skanalizowany jak i większość willi i pensjonatów. Oprócz willi i pensjonatów zarządowych są w Druskiennikach wille i hotele prywatne, które mogą pomieścić około 3 tysięcy osób. Wille zabudowane są szeroko, otoczone ogrodami, ulice silnie zadrzewione i wszystkie posiadają betonowe chodniki.

Okres kuracyjny dzieli się na trzy sezony: I-szy od 1 maja do 15 czerwca, II-gi od 16 czerwca do 15 sierpnia i III-ci od 16 sierpnia do 1 października. W sezonie I i III koszty kuracji i utrzymania są niższe, niż w sezonie II-m, t. j. głównym.

Jako fakt poczucia obywatelskiego podkreślić należy z uznaniem, iż zarząd zdrojowiska oznaczył nader przystępne ceny, mianowicie: za całodziennne utrzymanie (4 razy jedzenie) zł. 5.56 dziennie w sezonach I i III, w sezonie II o 10 proc. drożej.

Powietrze w Druskiennikach łagodne i czyste, przesycone jest przepyszny aromatem substancji smolistych. Klimat tu wyjątkowo służy dzieciom w każdym wieku. A ileż uciechy prawdziwej dostarczają im kąpiele słoneczne, lub rzeczne! Ile tu śmiechu i wesela podczas spacerów w prastare bory sosnowe, skąd przynoszą do domu pełne koszyki grzybów, jagód i ma-

lin! Starsza młodzież może oddawać się rybołówstwu, gdyż Niemen z Rotniczanką i jeziora okoliczne obfitują w ryby wszelkiego rodzaju. Poza to może uprawiać wszelkie sporty, gdyż Zarząd Zdrojowiska dbały o upodobania swych gości, urządził place do gry w tenisa, boiska do piłki nożnej, wolleyballu, tereny do treningów lekko-atletycznych, i łodzie do sportu wioślarskiego.

Bale i dancingi gromadzą parę razy w tygodniu w sali kasyna dobrane towarzystwo. Codziennie odbywają się w parku koncerty orkiestry zakładowej, często występy przyjezdnych artystów, oraz radjokoncerty.

Prawdziwy odpoczynek dla nerwów stanowią spacer w pięknym parku zdrojowym i wycieczki w okolicę do jezior, ukrytych w lasach,

Niewiele jest w kraju uzdrowisk posiadających tak świetne warunki, łączące własności lecznicze wprost wyjątkowe z przyjemnym a zdrowym klimatem i malowniczością położenia.

Tym też warunkom przypisać należy, iż tak chętnie ongi przebywała tu Eliza Orzeszkowa, czerpiąc w majestatycznym poszumie wiekowych sosen pokrzepienie dla ducha i umysłu.

I dzisiejsza rozsądna kobieta i dobra obywatelka kraju, wzięwszy pod rozwagę wszystkie te strony dodatnie, nie zawaha się w wyborze i niechybnie przełoży uroczę brzegi Niemna nad kosztowną podróz do zagranicznych badów, którym Druskienniki nie ustępują pod żadnym względem. A jak przyjemnie potem zaoszczędzony grosz zachować na różne potrzeby w jesieni!

Rachunek jest tak prosty, że nie wątpimy, iż w tym roku jeszcze gwarniej, niż lat poprzednich brzegi Niemna rozbrzmiewać będą perlistym śmiechem dzieci i głosami naszych pań.

Kto chce zasięgnąć informacji w Warszawie: — niechaj się zgłosi na ul. Marszałkowską 130, I piętro, tel. 182-34, gdzie mieści się Zarząd Zdrojowiska.

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka,
wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkania 3.

Telefon 102-77.

Opis sukien i robót do Nr. 18.

313. Palto z materiału nieprzemakalnego ciemno piaskowego koloru. Pasek skórkowy.

314. Kostjum z bronzowej gabardyny. Żakiet sportowy z kieszeniami.

315. Palto z jasno popielatego sukna, przybrane materiałem w kratę na popielatym tle.

316. Palto z materiału w kratę, przybrane gładkim sukniem.

317. Palto z bronzowej wełny, obłożone piaskowym sukniem.

318. Paltocik dla dziewczynki od lat 6 do 10 z malinowego sukienka, przybrany pliskami z tego samego materiału.

319. „Casaque“ z popeliny w pasy, lub deseń, przybrany plisowaną organdyą.

320. Suknia z kreponu lila, przybrana guzikami.

321. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 6. Majteczki granatowe, bluza biała, wyszyta granatowym.

322. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 6 z gładkiego i deseniowego kreponu

323. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 9 z woalu deseniowego.

324. Wzór na kapę na łóżko. Haft richelieu i mereżki.

T A B E L K A przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne 2.00
bielizna 1.50

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

ZAWIADAMIAMY NASZE CZYTELNICZKI, ŻE NADSZEDŁ DRUGI TRANSPORT TIULU GENUĘSKIEGO, KTÓRY WYSYŁAMY PO OTRZYMANIU ZAMÓWIENIA WRAZ Z NALEŻNOŚCIĄ. CENA METRA 15 ZŁP. SZEROKOŚĆ 180 CM.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”
z przesyłką pocztową wynosi

Rocznie—57 zł. 60 gr., kwartalnie—14.60, miesięcznie—4.80.
Zagranicą: miesięcznie—8 zł. Zmiana adresu 30 gr.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście (Plac Zamkowy) № 99.
Telefon № 239-40. Konto czekowe P. K. O. № 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA

Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99 Tel. 239-40.



KOMUNIKAT

BIURA PRASOWEGO

DLA SPRAW KOBIECYCH



W A R S Z A W A

2 MAJA 1925 r.

Wyjaśnienie

W poprzednim Numerze „Komunikatu” z 25 ub. m. umieściliśmy program Zjazdu Koła Polek, odbytego w dniach 25 i 26 b. m. W porządku dziennym Zjazdu znalazł się ustęp, zatytułowany „Sprawozdanie „Bluszczu” (Redakcja”).

Program VII Rady Naczelnej Koła Polek, rozesłany prasie i zaproszonym gościom, również zawiera tak zatytułowany ustęp, z dodaniem nazwiska redaktorki.

Celem uniknięcia niezgodnej ze stanem faktycznym interpretacji tego ustępu, wyjaśniamy, że aczkolwiek Tow. Koło Polek jest współwłaścicielem Tow. Wydaw. „Bluszcza”, które wydaje nasz tygodnik, to jednak „Bluszcza” nie jest organem Koła Polek, lecz łamy naszego pisma są na usługi wszystkich poważnych Tow. Kobięcych bez względu na ideologię i odcienie polityczne.

Brzmienie odnośnego ustępu, zostało wadliwie skonstruowane przez Sekretariat Koła, gdyż właściwie redaktorka „Bluszcza” p. W. Pełczyńska została zaproszona przez Zarząd Koła Polek do wygłoszenia referatu na temat: „Rola pisma kobiecego w Polsce współczesnej”, a nie do złożenia sprawozdania.

Zjazd Koła Polek

Dn. 25 i 26 kwietnia w Warszawie odbywały się obrady Zjazdu Koła Polek.

Najpierw tradycyjne nabożeństwo — potem otwarcie zjazdu przez przewodniczącą organizacji p. Konstancję Łubieńską. W przemówieniu p. Ł. kładzie nacisk na zmianę warunków powojennego życia i na konieczność wytworzenia Szkoły Pracy Społecznej.

Do prezydium zaproszono panią Emilję Grocholską na przewodniczącą, dr. Nebelską-Chmielewską na wiceprzewodniczącą

p. Zarembinę na sekretarkę. Asesorki: panie Łokuciejewska z Wilna, posł. Szymkowiakówna z Górnego Śląska, Mazarakową ze Skierniewic, i p. Pełczyńska z Radomia.

Witali Zjazd: poseł Mędrys, gen. J. Haller w imieniu Zarz. Gł. Czerw. Krzyża, posł. Szymkowiakówna w imieniu Towarzystw Polek z Górnego Śląska, p. Zaborowska w imieniu B. Krzyża, major Śliwiński w im. Komendy Miasta, p. Chrzanowski w im. Warsz. Oddz. Cz. Krzyża p. Brzezińska w im. Koła mieszczańek, p. Chrostowska w im. Kat. Zw. Polek p. Jangrodzka z Krzemieńca, p. Łokuciejowska z Wilna.

Sprawozdanie Zarządu Głównego wygłosiła p. Bratkowska.

Po sprawozdaniu nastąpił referat Redaktorki „Bluszcza” p. Wandy Pełczyńskiej „Rola pisma kobiecego w Polsce współczesnej”.

Po referacie tym, przyjętym bardzo gorąco, rozpoczęto sprawozdanie Kół prowincjonalnych, pierwszeństwo dając Wilnu.

Po południu tegoż dnia — ciąg dalszy sprawozdań, a potem referat o „Klubach dla dziewcząt pracujących” wygłosiła młodzieńka ale już od trzech lat z zapałem prowadząca to dzieło, pracownica „Klubów” przy Kole Polek, p. Niemyska.

Referat wywołał niezmiernie żywe zainteresowanie. Odzywały się głosy, że prowincji potrzeba takich właśnie instruktorek i takich referatów, że przydałby się szkoła instruktorek w Warszawie i t. p.

Dzień drugi obrad wypełniły: oprócz spraw formalnych, referat p. Widomskiego „O sytuacji gospodarczej kraju”, oraz dyskusja na temat „Obowiązków rodzinne, a praca zarobkowa kobiet” zagona przez p. Bratkowską, a dopełniona referatem dr. Garlickiej „O żłobkach i Domu Matki i dziecka”.

Po południu zwiedzano Klub dla dziewcząt, zwany także Świątlicą, Zorganizowany przez Koło Polek na Pradze.

Raport konwojentki

Dzięki uprzejmości pań z Tow. Ochr. Kobiet, mamy możliwość przedstawić raport p. Janiny Rutkowskiej, delegowanej z transportem № 423, jadącym do Francji via Gdynia — Havre.

Dn. 17 marca stała konwojentka w Wejherowie: etap polski brudny; zaduch, ciasnota! obok, oddział amerykański — widny, czysty, pełen światła i powietrza, z higienicznymi urządzeniami!

Dn. 18 marca w Gdyni emigranci nasi są już na pokładzie francuskiego okrętu „Caroline”.

I znów ciasnota i znów zaduch! Łóżka t. zw. „kójki” w potrójnej kondygnacji; starsze niewiasty, matki z dziećmi, poumieszczane na trzecim piętrze przypłacają guzami wdrapywanie się na te niewygodne łóżka.

Odżywianie niezłe: mięso dwa razy dziennie, chleba pod dostatkiem, jarzyny, ryż, makaron i dużo wina.

Bałtyk spokojny; dopiero na Morzu Północnym falowanie daje się we znaki.

Konwojentki praca na okręcie polega na zapoznawaniu się z emigrantkami i spisywanie adresów ich oraz ich przyszłych chlebodawców.

W związku z tymi adresami są tragedje rodzinne. Rozdziela się rodzeństwa, małżeństwa nawet!

W Havrze ma oczekiwać na emigrantki polskie delegatka francuskiej „Protection de la jeune fille”. Ani śladu podobnego stworzenia!

Konwojentka udaje się do biura „Protection”. Nic nie wiedzą tam o tem, że mieli spotykać emigrantki polskie, a ponieważ te jadą dalej, w Havrze nikt nie pozostaje, więc

i opieka oddziału nie może się na nie rozciągać.

Konwojentka jedzie do Paryża.

W Wydziale Emigracyjnym przy Ambasadzie polskiej w Paryżu nikt nie wiedział o ostatnim transporcie. Nie otrzymali o nim żadnego zawiadomienia z Warszawy.

(Oj skrzypią jeszcze koła tego wozu, którym lud polski jedzie na tułaczkę...)

Znów wizyta w „Protection“.

Tu mówią, że w Havrze delegatka czekała na transport polski, ale nie znalazłszy nikogo, wróciła z niczem.

Oczywiście następuje rozmowa na ten zawiły temat i wręczenie spisu emigrantek. Okazuje się, że spis za obszerny, bo większość w nim kobiet zamężnych! „Nous ne nous occupons que de jeunes filles“ — mówi Dyrektorka.

A dalej prośba, aby zniechęcać kobiety polskie do wyjazdu do Francji, bo „Protection“ jest prywatnym stowarzyszeniem, a więc oficjalnie nie bierze na siebie odpowiedzialności za to, co się dzieje i dźiać może wśród polskiej emigracji kobiecej we Francji.

Po tej rozmowie konwojentka dochodzi do przekonania i słusznie, że opieka francuska nad polską emigrantką jest „teorją, z resztą opromienioną najlepszymi chęciami“.

Lepiej już dzieje się konwojentce naszej na Quai d'Orleans № 6 w „Opiece Polskiej“. (Protection Polonaise) gdzie p. Zofja Mazurkiewiczówna udziela jej wszelkich potrzebnych informacji.

Dalej następują wnioski konwojentki: Potrzeba praktycznych podręczników do rozmowy polsko-francuskiej! (Podobno pracują już nad nim panie Wyleżyńska i Hulanicka).

Trzeba rozdawać emigrantkom adresy polskiego Tow. Ochr. Kobiet! Trzeba już na okręcie rozdawać samouczki! To są rzeczy najważniejsze!

A podczas dalszego pobytu we Francji słyszy konwojentka długie, długie historie o niedoli polskich kobiet, o wykolejonych dziewczętach, żonach porzuconych przez mężów itd. itd.

Z życia stowarzyszeń

— „Dziecko przed Sądem. Na ostatnim, miesięcznym zebraniu Klubu Politycznego Kobiet Postępowych dn. 22 kwietnia poruszono niesłuchanej doniosłości sprawę Sądu dla nieletnich. Zaproszeni — mecenas Kornfeld i sędzia dla nieletnich p.

Komorowski referowali istniejący u nas, pod tym względem, stan rzeczy.

P. Kornfeld po krótkim, historycznym szkicu instytucji, zwanej Sądem dla nieletnich, przeszedł do sprawy tej w Polsce.

Pierwszy Sąd dla nieletnich ustanowiono w Filadelfji w r. 1885. Za tym przykładem poszły inne Stany, oraz kraje europejskie. Nawet w Rosji funkcjonowało już w r. 1914 kilka takich sądów. Zasadą instytucji jest teza, że dzieci się nie karze, ale się je wychowuje. Sąd ma być jedną z instytucji wychowawczych. Obok Sądu funkcjonują tak zwane „Izby Zatrzymania“ oraz instytucja „Opiekunów sądowych“. Dziecko nie oddaje się do więzienia; jeżeli trzeba zatrzymać je do sprawy, umieszcza się je pod opieką wychowawców w „Izbie Zatrzymania“. Po wyroku, który w pierwszej sprawie zawsze odracza karę, dziecko wraca do rodziny, ale z przydaniem mu Opiekuna sądowego. Opiekuna obowiązkiem jest czuwać nad dzieckiem, odwiedzać je, kierować jego rozwojem moralnym. W razie recydywy, dziecko oddane zostaje do „Domu wychowawczego“, który nie nazywa się ani „karnym“, ani „poprawczym“ ale poprostu „szkołą“.

Tak jest za granicą.

U nas dn. 2-go lutego 1919. dekretem Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, kontr asygnowanym przez Ministra sprawiedliwości. J. Supińskiego ustanowione zostały Sądy dla nieletnich w Warszawie, Łodzi i Lublinie.

Dn. 1-go września 1918 r. Sądy te funkcjonować zaczęły wśród absolutnej obojętności społeczeństwa. Sprawa przez cały szereg lat stała bardzo źle: były Sądy ale nie było Izby zatrzymania (niema ich dotychczas) nie było Opiekunów sądowych, a Domy wychowawcze znajdowały się w stanie zupełnego upadku.

Skutkiem tego dzieci trzeba było przetrzymywać w więzieniach, a brak Opiekunów unicestwiał właściwie całe znaczenie Sądu dla nieletnich. Obecnie rzeczy są na lepszej drodze.

W trakcie dyskusji dowiedziały się zebrane panie, że utworzyło się już Koło Opiekunów sądowych, a p. Sędzia Komorowski zaprasza gorąco do współpracy wszystkie osoby, chcące poświęcić trochę czasu i serdecznej troski opuszczonym i zaniedbanym dzieciom — przestępcom. Adres Sądu dla nieletnich Elekoralna 28. Tam można się zgłosić z ofiarą swego czasu i dobrej woli. Nadto organizuje się „Liga opieki nad dziećmi opuszczonymi, zaniedbanymi i przestępcami“. Odbły się już dwa posie-

dzenia organizacyjne, a ułożenia statutu podjęli się dwaj wybitni prawnicy. Liga ta zajmie się prawdopodobnie urządzeniem „Izby zatrzymania“. Co do zakładów wychowawczych, Studzieniec, w rękach „Patronatu nad nieletnimi przestępcami“ zaczyna podnosić się z ruiny i utrzymuje już 300 chłopców. Gorzej jest z „Puszcą Marjańską“ gdzie Zakład poprawczy dla dziewcząt został zupełnie skasowany, a budynki w przeszłym roku wynajęto na letnie mieszkania dla rodzin urzędników...

Następstwem tego faktu jest, że małoletnie przestępczynie zamyka się w więzieniach.

Mówiąc o instytucji Opiekunów sądowych zaznaczył sędzia, że w gronie działających u nas obecnie opiekunek wyróżniają się gorliwością, członkinie Klubu p. Sawicka i Bormanowa.

Korespondencje Biura Prasowego dla spraw kobiecych

POZNAŃ 20. IV. ZWIĄZEK KÓŁEK WŁOŚCIANEK — WALNE ZEBRANIE. Ruch Kobiety na terenie Wielkopolski jest zorganizowany w różnych Związkach i Towarzystwach. Zaczynam od Związku Kółek Włościanek, jako sprawy aktualnej, gdyż 25 marca odbyło się w Poznaniu Walne Zebranie prezesek, wiceprezesek i delegowanych Kółek...

Uczestniczek zebrało się 300. Zjechali goście z Warszawy, Częstochowy z kieleckiego, Tarczyńskiego i ziemi łęczyckiej.

Pierwsze Koło włościanek powstało w r. 1903 z inicjatywy i pod kierownictwem św. p. pani Zakrzewskiej z Mierostawic. Potem zawiązało się jeszcze kilka kółek i stanowiły one sekcję Ziemianek. W r. 1919 przyłączono je do Patronatu Kółek Rolniczych, a od r. 1920 tworzą, jako związek, samodzielną organizację przy Izbie Rolniczej. Na czele Związku stoi przewodnicząca z Radą Patronacką, składająca się z b. członków. Za czasów niewoli praca była więcej patriotyczna, jak fachowa. Ówczesna inspektorka panna Grabowska z zajęć praktycznych szerzyła przędzenie i tkactwo.

Rozrost kółek datuje od stworzenia samodzielnej organizacji, liczącej obecnie 4000 członkiń, pracujących w 72 kółkach.

Od 5 lat jest przewodniczącą p. Niegolewska z Niegolewa. Instruktorką i sekretarką jest panna Olszewska.

Zebrania odbywają się co miesiąc; referaty oświatowe przeplata się praktycznymi. Urządza się kursy gotowania, szycia, mereżkowania, haftowania, koronkarstwa i wyplatania ze słomy.

— Po Mszy Św. w starożytnym kościele Panny Marii przy Tumie, złożono hołd ks. Biskupowi Żukowskiemu. O godz. 11½ zgromadzono się w Bibliotece Uniwersyteckiej.

Jasne i obszerne sprawozdanie z rocznej działalności dała p. Niegolewska, zaznaczając intensywną pracę połowy Kółek.

Skarbniczka, p. Mielecka przedstawiła stan kasy; saldo na rok bieżący wynosi 400 zł. Składkę podwyższono na 1 zł.

Sztandary posiadają tylko 2 kółka. Zmarłych członków uczczono odmówieniem „Zdrowaś Marja”.

Po powitaniu gości, złożeniu życzeń i odczytaniu telegramów wygłoszono referaty. Pierwszy p. Brownsfordowa: „O miłości Ojczyzny”, drugi p. Oświecimska na temat: „Ogród Włosciański”, trzeci p. Chmielińska z Warszawy: „Jak bronić młodzież przed zepsuciem”. Referatów wysłuchano z wielką uwagą i zainteresowaniem, poczem wyłoniła się ożywiona dyskusja. Proszono o szkoły wieczorne, a z byłej Kongresówki o lepsze siły nauczycielskie, gdyż dość często oddziałuje miejscowe nauczycielstwo wprost demoralizująco.

Proponowano częstsze spotkania się kobiet z całej Polski, aby przez wzajemne poznanie się zacieśniać różnice dzielnicowe. Na Zjazd ogólny wyznaczono dzień 27 sierpnia na Jasnej Górze u stóp Królowej Korony Polskiej, z okazji uroczystego wręczenia Matce Boskiej Częstochowskiej berła, jako wotum, od Kobiet za cud nad Wisłą. Odśpiewaniem „Roty” zakończono oficjalną część Zjazdu.

Po specjalnem przedstawieniu w Nowym Teatrze, gdzie dano „Grube ryby” Bałuckiego, zebrano się jeszcze na wspólną wieczornicę i w serdecznym nastroju zakończono, bogaty we wrażenia, dzień. Nazajutrz zwiedzano Gniezno i Uniwersytet ludowy w Dalkach. Zjazd zostawił wszystkim jaknajlepsze wrażenie.

W. K.

Z KASZUB 20 IV. Odezwa Warszawskiego Koła Ziemianek, wzywająca kobiety wiejskie na zjazd do Warszawy w dniu 21 i 22 maja, bardzo mile i z radością została przeczytana. Dużo ziemianek i włoscianek wybiera się na ten

zjazd do Warszawy, aby dać świadectwo, że chociaż Niemcy język nam trochę wykręcili, serc jednak odmienić nie zdołali; mamy zawsze polskie serca, obchodzą nas wszystkie polskie zagadnienia.

Koło Ziemianek w Brusach wysłało do marszałka Rataja protest przeciw zakusom Niemców wzięcia ziem pomorskich. Koło sprowadziło do Brus zakonnice urządziło klaszorek i zakonniczki mają teraz, oprócz ochronki i odwiedzania chorych, założyć dla okolicznych dziewcząt wiejskich kurs pracy ręcznej. Przewodnicząca Pom. Ziemianek wysłała prośbę do prezesa kolei pom. w Gdańsku, aby pozwolił na sprzedaż tańszych biletów dla uczestniczek Zjazdu 21 i 22 maja w Warszawie. S.

BRZEŚĆ n/B. 2.IV 1925 r. W dniu 1-ym kwietnia pod protektorem pani wojewodziny Młodzianowskiej i p. jenerałowej Jastrzębskiej odbył się w salach Białego Pałacu w Twierdzy Koncert-Raut na rzecz „Domu Żołnierza”.

Sympatyczny cel, oraz urozmaicony program zgromadził w sali i bufecie dość liczny zastęp gości, którzy po koncercie, przy smacznej kolacji, z ofiarowanych przez panie gospodynie dań, spędzili mile czas do późnej nocy. —a

Z życia prowincji

„Szkoła Pracy” w Łumińcu i okolicy. Jak opisuje „Robotnik”, Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych założyło w Łumińcu (Polesie) i okolicy Szkoły Pracy dla dziewcząt. Są to szkoły, w których uczy się szycia, kroju, haftu, obok przedmiotów ogólnokształcących: higieny, nauk przyrodniczych, historii, literatury. W samym Łumińcu, w szkole takiej jest 100 uczennic, w tem 24 polki, 44 białorusinki, 2 ukrainki, 4 rosjanki, 25 żydówek. Nauczycielki fachowe, sprowadzone z Warszawy uczą je rzemiosła, miejscowi nauczyciele prowadzą przedmioty ogólnokształcące.

W Łachwie (przedostatniej stacji od granicy sowieckiej), jest druga szkoła tego samego typu. Uczy się tutaj 35 dziewcząt, w tem 13 polek, 18 białorusinek i 4 żydówki, w wieku od 15-tu do 28-miu lat.

W Hancewiczach zapisało się do Szkoły Pracy 100 dziewcząt. Z powodu braku miejsca przyjęto i uczy się 45.

W nadgranicznym miasteczku Leninie zapisało się 60 uczennic. Przyjęto i uczy się 25. Filia w Czudzinie ma 18 słuchaczek.

Kursy, odczyty, wykłady

— Na Walnym Zjeździe Zw. H. Polskiego we Lwowie dn. 12 kwietnia druha Daszkiewicz-Czajkowska wygłosiła referat p. t. „Służba bliżnim w harcerstwie.”

— P. Olga Matkowska, kierownicza harcerskiej szkoły instruktorskiej w Sromowcach wyjechała do St. Zjednoczonych, gdzie urządza odczyty o harcerstwie w Polsce.

— Na Zjeździe Narodowych Organizacji we Lwowie pani Skoczylasowa wygłosiła referat p. t. „O potrzebie współpracy organizacji narodowych”.

Udział kobiet w stowarzyszeniach mieszanych

— Na ostatnich wyborach, do Zarządu Tow. Heraldycznego we Lwowie obraną została pomiędzy innymi Dr. H. Polackówna.

— Do zarządu Klubu Artystycznego w Warszawie wybraną została jako sekretarka p. Róża Cekańska-Heymanowa, jako członkinie Stefania Podhorska-Okołowi i Emilja Sukertowa.

— Jak donosi „Strzelec” № 5—6, zalegalizowano w r. ubiegłym 4 nowe oddziały żeńskie. Ogółem jest 10 oddziałów żeńskich „Strzelca”. Prócz tego istnieje wiele drużyn żeńskich przy oddziałach męskich. Daje się odczuwać brak instruktorek. Do Komisji „Pracy Kobiet” w Strzelcu wchodzi panie: Witekówna (przewodnicząca), Kwietniewska, Olędzka, Sztyberowa, Krowicka, Świątkowska, Dulębianka.

Na ostatnim dorocznym zjeździe Strzelca, który odbył się dnia 8 marca r. b. wniosek „Komisji Pracy Kobiet” brzmiał: „Walny Zjazd Delegatów wzywa wszystkie ośrodki pracy Strzeleckiej, by energicznie wszczęły akcję propagandy i organizacji pracy kobiet.

W Zj. Deleg. poleca wszystkim Zarz. okręg. i obwod. by dołożyły wszelkich starań, celem jaknajliczniejszego obesłania żeńskiego obo-

zu letniego, jako najprostrzego sposobu uzupełnienia naszej kadry instruktorek.

Walny Zj. Deleg. poleca Zarz. Gł. podjęcie inicjatywy celem wznowienia zupełnie u nas zaniedbanej gałęzi sportu strzeleckiego, jaką jest łucznictwo.

— Na walnym Zjeździe Związku Harcerstwa Polskiego we Lwowie (dn. 11 i 12 kwietnia r. b.) do Naczelnej Rady Harcerskiej wybrane zostały druchny: Mudrykówna, Matkowska i Uklejska.

Przegląd prasy

— „Rzeczpospolita“ poświęca od pewnego czasu dużo uwagi ruchowi kobiecemu. W Nr. 73 tego pisma znajdujemy sprawozdanie z działalności „Katolickiego Związku Kobiet“. W Nr. 76 sprawozdanie z akcji „Koła Polek“ Chrześcijańskiego Związku Rękodzielniczek „Dźwignia“.

W Nr. 79, artykuł, poświęcony „Kołu mieszczańek“, informacje o policji kobiecej, wn. z dn. 21.III, informacje o Zakładzie hodowli drobiu w Julinie i t. p.

— „Gazeta Poranna“ Nr. 80 zamieszcza wywiad zatytułowany: „Jak pracuje Narodowa Organizacja Kobiet?“

Na zapytanie: co stanowi główny przedmiot działalności N. O. K. odpowiedź brzmi:

„Jak głosi ostatni okólnik Zarządu, N. O. K. postawiła sobie za najważniejsze zadanie „ujednostajnić i pogłębić naszą myśl polityczną, państwową i narodową“, oraz „wzmocnić łączność organizacyjną“.

„Ponieważ przyszłemu Sejmowi zapewne przypadnie w udziale wprowadzenie doniosłych zmian do naszej Konstytucji, a to zależne jest wyłącznie od jego składu, najbliższe wybory winny być troską wszystkich obywateli, narodowo myślących“.

— „Warszawianka“ Nr. 93 zamieszcza artykuł Ireny Panenkowej, p. t. „Demokracja niemiecka“. Autorka artykułu twierdzi, że demokraci i konserwatyści niemieccy różnią się między sobą tylko taktyką: Zmierzają jednak do tych samych celów.

— „Gazeta Polska“ (Kościan) w Nr. 85 z dn. 14 IV zamieszcza przedruk artykułu p. Z. Osbergerowej o „Pracy w Sejmie“.

— № 2 (4) Almanach Nowej Sztuki zamieszcza przekład Wandy Melcer-Rutkowskiej z artykułu N. Beaduina „Nowe prądy poetyckie we Francji“ oraz Stefani Podhorskiej-Okołowej „Fragmentu“ Pierre Morhange'a (proza) i nigdzie dotąd nie drukowanego poemaciku Maxa Jakob'a p. t. „Bretanja z auta“.

— Pod naczelnem kierownictwem A. Roszkowskiej wychodzić zaczął miesięcznik p. t. „Czyn Młodzieży“. Jest to organ Komisji oddziałowej Kół Młodzieży Polskiego Czerw. Krzyża.

— W zeszycie ostatnim „Bibliografii Pedagogicznej“ spotykamy recenzję p. Izy Moszczeńskiej oraz artykuł W. Haberkann-tówny p. t. „Biblioteka podręczna nauczyciela przyrodoznawstwa w gimnazjum niższem“.

— Ukazał się drugi tom „Rocznika Pedagogicznego“ wychodzącego pod redakcją p. Heleny Radlińskiej,

— „Wiadomości Literackie“ w Nr. 16 z dn. 19 IV drukują artykuł p. Reginy Reicherówny p. t. „Nowe powieści niemieckie“ (recenzja z książki Ottona Flake'go „Dobra droga“).

— Czytamy w 2-gim № „Fotografa Polskiego“ o odznaczeniu prac p. Jasińskiej z Wilna brązowym medalem na wystawie w New Westminster (Kanada).

Wiadomości bieżące

— Przy Ambasadzie Polskiej w Paryżu istnieje pod protektorem p. Ambasadorowej Chłapowskiej instytucja zwana „Opieką Polką“ („Protection Polonaise“). Obecnie utworzono tam wydział opieki nad kobietami, który zajmie się losem naszych emigrantek, oraz w porozumieniu z różnymi instytucjami francuskimi, a w kraju z Urzędem Emigracyjnym, Tow. Ochr. Kobiet i t. d. otoczy je może nareszcie pewną opieką. Sekretarką „Opieki Pol-

skiej“ jest p. Zofja Mazurkiewiczówna. Biuro mieści się przy ul. Quai d'Orleans 6.

Wiadomości Zagraniczne

ANGLJA. *Zamiast zapomóg dla bezrobotnych kursy gospodarstwa domowego.*

Rada szkolna Hrabstwa londyńskiego powzięła uchwałę założenia specjalnych kursów bezpłatnych gospodarstwa domowego dla kobiet, pozbawionych pracy, których ilość z powodu kryzysu przemysłowego jest bardzo znaczna. Uchwała ta została powzięta w porozumieniu z Ministerstwem Pracy które już od dłuższego czasu dokłada wszelkich starań, celem zapobieżenia dotkliwemu brakowi służby domowej, jaki daje się odczuwać od lat kilku w całej Anglii.

Kursy te, na założenie których rząd i władze lokalne przeznaczyły już znaczniejsze kredyty, mają obejmować całkowity program gospodarstwa domowego ze szczególnem uwzględnieniem gotowania. Wszystkie kobiety, pozbaw one pracy, otrzymujące dotychczas zapomogi od rządu, będą obowiązane do uczęszczania na te kursy, po ukończeniu których otrzymają z łatwością posady gospodyń, kucharek, zarządczyń domu etc.

Sport

Z WARSZAWSKIEGO KLUBU WIOŚLAREK. W skład nowoobranego Zarządu Klubu wchodzi następujące panie: prezeska p. dr. Domosławska, wiceprezeski: Muszałówna i Fynfszytkówna, naczelniczka przystani Dziewulska, wicenaczelniczka Rothertowa i Kwaśniewska, skarbniczka Winklerowa, zastępczyni Szpechtowa, sekretarka Leżnicka, zastępczyni Krackiewiczowa prócz tego Znojowa i Wiśniewska.

Delegacja sternicza: Dziewulska, Jamnicka, Smolakówna, Wasilewska, Grabicka, Anionowiczowa, Fynfszytkówna.

Termin regat wewnętrznych naznaczono na 5 lipca, drugi—na 27 września.